

# CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

## POWIEŚĆ

PRZEZ

*Jana Zacharyasiewicza.*

---

(Ciąg dalszy).

### VII.

#### Na szerszym świecie.

Stefuś tymczasem rozpatrywał się coraz więcej w nową atmosferę, która go teraz otoczyła.

Stolica podkarpackiego kraju nie była wprawdzie wielkiem miastem, nie miała owych wielkich, gwałtownych prądów, które przybyłego nowicyusza nagle w odmęty życia porywają; nie miała nawet owych dróg krytych i tajemniczych, jakimi dojść można do niezwykłych, niespodziewanych rezultatów: mimo to dla Stefusia dla którego miasto obwodowe było dotąd jedyną areną, miała stolica kraju wiele tajemniczego uroku i zagadek życia, których on jeszcze nie znał.

Urok ten jednak nie nabawił go zaraz z początku pewną gorączką, którą zazwyczaj przebywa każdy młody człowiek, gdy poraz pierwszy atmosfera stołeczna go owionie.

Stefuś chciał pierwój zdala od wszystkich prądów przypatrzeć się tej atmosferze, wystudyować ją, aby potem z tém większą pewnością powierzyć się jej falom.

Jak w mieście obwodowém tak i tutaj pierwsze studia poświęcił powierzchowności ludzi.

Nie mieszając się wcale w tłumy mieszkańców przypatrywał się im z boku. Studiował ubiór młodych elegantów zaczynawszy od kapelusza aż do kamaszków. Dłuższy czas poświęcił misternym węzłom krawatów. Patrzał, jak się laski noszą i jaki kolor odpowiada najlepij ubraniu.

Wystudyowawszy to wszystko w najdrobniejsze szczegóły zrzucił z siebie pewnego poranku swoją skorupę parafigalną i za pomocą krawca i fryzjera przedzierzgnął się odrazu w dandysa stołecznego.

Trzeba przyznać, że uczynił to z niemałym talentem. Kawał brody wygolił starannie, chociaż jeszcze wcale do golenia nie było wiele, a po bokach twarzy zostawił młodą szkółkę na takie same bakenbardy, jakie nosił hrabia Fredzio. Głowę kazał sobie rozdzielić symetrycznie na dwie połowy, co niejednego starego, na bruku żyjącego szlachcica wprawiało w strach nie mały, aby ta głowa po zdjęciu kapelusza kiedy się na dwie równe części nie rozłupała. Takie wrażenie sprawiał ten podział głowy.

Gdy więc poczwarkę parafigalną już za sobą zostawił i niepoślednim motylem w świat stołeczny wyleciał, rozumie się samo przez się, że zaraz przygarnęli się do niego podobni jemu, a on również podobnych sobie wyszukiwał.

Zajawszy więc między młodzieżą pewne stanowisko, spozrzał z niego na świat stołeczny i szukał w nim przyszłych dróg życia, któreby go zaprowadzić mogły do tego, co ludzie szczęściem nazywają.

Mieszkańcy stolicy nie wiedzieli wcale o tém, że w pięknym, o jasnych włosach młodzieńcu, który jak każdy inny śmiertelnik w godzinach po obiednich po „wałach” się przechadza, drzemały zwinięte misternie jak u chrząszcza skrzydła, które go mogły kiedyś unieść wysoko po nad poziom!

Młodzieniec dwudziestokilkoletni czuł te skrzydła pod brązową pokrywką, ale nie chciał jak wielu jego poprzedników zmarnować tych skrzydeł, aby nimi trzepotać bez celu, chociażby to trzepotanie było dla niego bardzo przyjemne; nie chciał również jak Ikar opalić sobie tych skrzydeł i potem kaleką czołgać się po ziemi: chciał poprostu

pierwój przekonać się, w jaki sposób najkorzystniej tych skrzydeł użyć można.

Poczuwał w sobie wielostronne talenty. Mógł pracą zużytkować te talenty i zrobić się niejako znacznym w społeczeństwie, ale wprzód chciał wiedzieć, co społeczeństwo za tę pracę mu ofiaruje.

Na odpowiedź społeczeństwa nie czekał długo.

Pewnego poranku przeczytał na rogach ulic bardzo sympatycznie stylizowane zaproszenie na pogrzeb jednego ze znanych powszechnie artystów i pisarzy; procz tego dzienniki podały tegoż samego dnia szeroki opis życia i prac nieboszczyka i nie szczędziły epitetów jak najpochlebniejszych: jedno nawet z pism obiecało dać portret zmarłego.

Przyznać trzeba, że pierś Stefusia podniosła się przy tych słowach jakimś rozkosznym westchnieniem. Żyć tak, aby takie wspomnienie po sobie zostawić, jest rzeczywiście nie małą rozkoszą!

Stefus postanowił o godzinie oznaczonej na kartkach pośmiertnych przyłączyć się do orszaku, który zasłużonego człowieka odprowadzić miał na wieczny spoczynek.

I tutaj przyznać potrzeba, że aż do téj godziny przetrwał w jakimś niezwykłym, wyższym nastroju umysłu, w którym byłby nawet zdolnym do jakiego poświęcenia się...

Ale jakież było jego rozezarowanie, gdy pogrzeb odbywać się zaczął od szpitala publicznego, i gdy mała tylko garstka ludzi się zebrała aby temu pogrzebowi towarzyszyć!

— Jakto? — zapytał stojącego obok siebie kolegi — czyż to być może, aby ten człowiek był zasłużony i znakomity, aby portret jego po pismach publicznych umieszczali, i żeby umarł w szpitalu publicznym i grzebany był bez współludzi? — dla których żył całe życie?...

Kolega Stefusia, który przypadkiem tam się znalazł, wyjął chustkę fularową, strzepnął nią w powietrzu, aby stojące niedaleko kobiety, odznaczającą się woń paczulową poczuły i odrzekł:

— Biedak był wielki! Nie miano go nawet za co pochować! Zbierano składkę!

Stefus uniósł się gniewem szlachetnym, odwrócił się od kolegi i z pewną demonstracją oddalił się od orszaku pogrzebowego, a nieboszczyka zostawił tym, którzy zostali.

Niewiedzieć tylko czy rozgniewał się na społeczeństwo, które pracownika swego w ubóstwie zostawiło, czy na nieboszczyka, że dla miłości tegoż społeczeństwa ubóstwo cierpiał!

Stefuś niejakiś czas chodził zamyślony. Zdaje się że nieboszczyk wypłatał mu niemałego figla zmarłszy ubogim i w szpitalu. Możliwe bowiem wnosić, że Stefuś przy swoich nadzwyczajnych talentach, myślał na prawdę o wyszczególnieniu się jakimś talentem, któryby mógł go wznieść wysoko. Nieboszczyk jednak popsuł mu szkaradnie wszelkie rachunki i zostawił mu tablicę na czysto zmazaną.

Mimo tak smutnej odpowiedzi, jakie mu społeczeństwo dało na jego milczące zapytanie, nie mógł się jednak pozbyć tej myśli, aby praca jakaś wykonana z talentem, była wynagradzana tylko ubóstwem i portretem pośmiertnym. Nagroda taka nie przypadła mu do smaku, myślał jeszcze o tém, że może być inną!

Niebawem jednak nadeszła druga odpowiedź, jeszcze wyraźniejsza.

Dzienniki wyszły w czarnych obwódkach i grubym piśmie zapowiedziały stratę jednego z najznakomitszych pisarzy. To samo rokoszne westchnienie podniosło znowu pierś Stefusia. Znowu pospieszył na pogrzeb, mimo mrozu i śniegu, słyszał nad grobem nieboszczyka wzniosłe słowa jednego z uczonych; ale zaraz na drugi dzień wyczytał w dziennikach odezwę o składkę dla pozostałej biednej rodziny.

Stefuś przez dwa dni chodził gniewny i opryskliwy, wyrzucał sobie, że się Francuzem nie urodził i postanowił nie sięgać ręką po te ideały życia, które się kończą śmiercią w szpitalu lub składką dla pozostałych sierot! Przypominał nawet sobie w tej chwili pierwszą rozmowę swoją ze starym pedagogiem o ideałach i kominach kamienie i przyznał mu słuszość. Ukryty jego ideał zniknął, gdy się do niego zbliżył, bo zamiast niego zobaczył szpital, ubóstwo i jałmużnę!

Postanowił więc nie szukać najprzód drogi dla siebie, ale popływać trochę razem z falą. Być może płynąć z falą,

ta droga gdzieś się wykryje, a wtedy będzie czas pomyśleć nad nią. I tak uczynił.

Broszka z herbem Radziwiłłów leżała zamknięta w pudełku wraz z guziczkami od rękawów. Ile razy guziczki odmieniał myślał o niej, myślał o tym prześlicznym biuście, na którym ona chusteczkę muślinową spinała; przypomniawsobie nawet, jak wiele czasu potrzebowały paluszki Pauliny, aby ją od téj chusteczki odczepić. Było to wspomnienie miłe i miało dla niego pewny urok, osobliwie gdy sobie te piękne kruczе włosy, te oczy brunatne ogniem strzelające żywo przed duszą postawił. Czasami nawet ciągnął myślą do lat najpierwszjéj swojéj młodości, ale to wszystko co ztamtąd wyniósł było podobne do wieńców tych kwiatów, które nie upajają wonią wiosenną, ale bawią oko swemi kształtami na szybie zamarzniętjéj!

Broszka jednak z herbem Radziwiłłów leżała spokojnie na dnie pudełka, jak załoga fortecy, która kiedyś może zrobić wycieczkę i zwyciężyć. A tego zwycięztwa niktby jéj nie mógł w przyszłości odmówić, mając doświadczenie że życie różnemi drogami chodzi i często jak potok nagle w ziemi przepada, aby potém znowu wypłynąć, a wypłynąć tém silniéj po chwili, gdy się tego nikt nie spodziewał!

Stefus jednak nie myślał w téj chwili o niebezpieczeństwie, które w pudełku dotąd schowane było; postanowił spokojnie płynąć z prądem niektóréj młodozjéj, w kole któréj przypadkiem się znalazł.

Młodozje ta miała już gotowe swoje drogi, a drogi te były dosyć przyjemne.

Różnica między tą młodozją a dawniejszą, z pomiędzy któréj wyszli ci dwaj nieboszczycy, których pogrzeb tyle zmartwienia sprawił Stefusiowi, była bardzo znaczna.

Dawniejsza młodozje pojmowała inaczej swoje zadanie. Nie miała ona pretensji do pełnego życia, bo wiedziała że jest dopiéro młodozją. Uważała za rzecz słuszną, aby do tego życia powoli się przygotować; aby w zaraniu młodozji zebrać jakiś kapitał moralny, zanim na pełne morze żagle rozwinie, i zedrze zasłonę z obrazu, który miał być życiem istotném!

Dlatego to nie można było téj młodozji szukać w zastępach życia realnego. Na ubogich poddaszach zgro-

madzała się u kolegi, który talentem lub pracą między nią zabłysnął i chętnie poddawała się jego wpływowi, chociaż on był ubogi i ubogo urodzony.

Było to wprawdzie życie częstokroć od realnego życia oderwane, stworzyło ono wielu marzycieli i ludzi suchych teoryj, ale dawało zawsze szlachetny grunt przyszłości, którą kiedyś ci ludzie weszli do życia rzeczywistego, przedstawiać mieli.

Ludzie ci w odosobnieniu od świata mierzyli siły swoje, zaprawiali się do późniejszych walk gladiatorских i byli twórcami przyszłości. Ponieważ w pierwszej młodości nie uznali wygodnej zasady, aby we wszystkiem do świata się stosować, zażądali później od tego świata, gdy się do niego ze swemi ideałami spuścili, aby tenże do nich się stosował.

Była to wprawdzie walka nie równa, świat nie chciał ich widzieć i wszystkich swoich względów im odmówił, jednak zawsze było zwycięztwo po ich stronie, choć w szpitalu umierać musieli, choć po ich zgonie dla pozostałych sierot jałmużnę zbierano! Złote bowiem ziarna ich pracy rozsypywały się z kłosów starannie dojrzałych, a nie jedno ziarno wpadło na ziemię urodzajną i nagrodziło robotnika płoym obfitym!

Takićj młodzieży nie miał teraz Stefuś przed sobą. Być może, że ona gdzie była, ale Stefuś jęj nie znał i nigdzie nie widział. Ta, którą on widział, przypadała bardzo do jego smaku.

Młodzież ta porzuciła dawniejsze swoje odosobnienie i wstąpiła odrazu, jak tylko można było, w życie realne. Nie byłoby to może źle, gdyby to życie realne nie ścierało zbyt wczesnie idealniejszych barw życia, które jak kwiat drzewa potrzebują pierwćj kwitnąć, nim owoc wydadzą. Do tego wczesnego życia przyczyniały się różne okoliczności.

Niektóre z nich były nawet bardzo szlachetnej natury, ale rezultat przynosiły jak najgorszy.

Szlachetném wiedziona uczuciem młodzież chciała uboższym swym kolegom przyjść w pomoc. Zamiast zorganizować między sobą pomoc wzajemną, zaczęła w tymże samym celu wyzyskiwać uczucie publiczne, aby sobie środków na godziwy cel swój przysporzyć.

Urządzano bale publiczne, dawano zabawy kostiumowe, wyprawiano koncerty i widowiska sceniczne: we wszystkiém tym, rozumié się, młodzież rej wodziła.

Jakkolwiek cel był zawsze dobroczynny i szlachetny, jednak dla aktorów tych zabaw publicznych wypływały ztąd znaczne moralne niekorzyści.

Najprzód młodzież odrywała się od książek i drogi czas traciła na rozległych przygotowaniach. Prócz tego uboczne akcesorya życia, jakimi są zabawy towarzyskie, wzięła za jeden z czynników tego życia i to niepośledni. Była to dla niej arena popisywania się nie pracą i talentem, ale powierzchowną ogładą i sztuką podobania się. Bohaterstwem dla niej było być jednym z gospodarzy balu i pięknym kobietom podawać rękę do promenady na sali. A szczytem marzenia—być przewodzcą w tańcach, czyli jak się wyrażano z niemiecka „*Vortänzerin*.” Niektóre nawet dzienniki były tak nieoględne, że nazwiska przyszłych fortencerów drukowały w kronikach swoich grubém pismem, aby wybierającym się na bal młodym kobietom dać wyobrażenie o przyszłym ich szczęściu...

Działało to bardzo na młodą wyobraźnię i usuwało w głąb poważniejsze strony życia.

Prócz tego wyprawianie podobnych widowisk i zabaw dla szerszego koła publiczności, wprowadzało tę bawiącą się młodzież odrazu w bezpośredni stosunek z całą publicznością, o co dawniej długą i poważną pracą dopiero potrzeba było się starać.

Łatwość ta dostania się do środka życia, kazała lekceważyć wszystkie inne drogi, które również do niej prowadziły, ale były dłuższe i wymagały wprzód dyplomu pracy. Pocóż bowiem pracować, pocóż dalszemi dążyć drogami, jeśli się bez tego obejść można?

Niemniej złą stronę miało to wczesne wejście w świat młodzieży pod względem ekonomicznym. Dawniej dosyć było studentowi, że miał czém bądź się okryć: jeden frak był na trzydziestu, którego sobie z koleżeńską życzliwością wzajem pożyczano, gdy tego konieczna była potrzeba; dzisiaj dla zebrania trochę grosza dla uboższej młodzieży, wydawano znaczne summy na strój balowy, które daleko więcej przewyższały jałmużnę!

Z balów, z widowisk publicznych rozpoczynały się znajomości, bez których dawniej młodzież się obchodziła, a na które teraz potrzeba było sporego wydatku na rękawiczki, krawatki i odzież.

Słowem młodzież ta nabyła wprawdzie więcej wprawy do życia towarzyskiego, umiała z pewnem zaniechaniem na fotelu siedzieć, z ładnymi kobietami bawić się ożywioną konwersacją, z wdziękiem strzepywać popiołek z papierosika, a nawet w sprawach buduarowych mogła mieć pewną biegłość, ale z młodzieży téj nie wyjdzie Mickiewicz ani Szajnoch!

A taką właśnie młodzież miał Stefuś dzisiaj przed sobą. Powtarzamy, że może po za tą młodzieżą była gdzie inna, bo niepodobna aby między zgnilizną nie było zdrowych atomów; ale Stefuś tych atomów nie widział, bo jego usposobienie ciągnęło go w inną stronę.

Wszedłszy pomiędzy tę młodzież, zaczął zaraz badać, co właściwie téj młodzieży najwięcej pomaga do powodzenia na towarzyskiej arenie małej stolicy kraju.

Już z góry przekonał się, że tego powodzenia nie daje ani nauka cicha i rzetelna, ani praca dla społeczeństwa korzystna, ani żadna inna, niebłysłotliwa zasługa.

Postanowił więc nie tykać tych rzeczy, które wprawdzie po śmierci ilustrowanym portretem nagradzane być mogą, ale życie każą kończyć w szpitalu po nędzy i ubóstwie!

Odrzucił więc precz od siebie te mary kościste, drżące z głodu i chłodu.. i zaczął się zastanawiać nad drogami, które najwygodniej prowadzą do szczęścia zwykłego.

Cheiał on bowiem szczęście swoje pochwycić gdzieś w pół drogi, nim ono jeszcze zwykłym trybem do niego zdążyć mogło. Droga ta bowiem była długa i nudna. Mógł wprawdzie skończyć prawo, zostać co najmniej adwokatem, dorobić się majątku i potem używać szczęścia!

Na to jednak potrzeba było długo, bardzo długo czekać. Zresztą ostateczny ten cel stał zawsze przed nim, ale jeśli w połowie drogi przed tym celem mógł inne szczęście znaleźć, dlaczegoż go nie brać?

Aby jednak to szczęście schwycić, potrzeba było najprzód rozpatrzyć się między drogami, które do tego szczę-

ścia prowadzą, i dobrze poznać stanowiska, na których tę płochą zwierzynę spotkać można!

Rozpatrując się wkoło siebie, spostrzegł, że do tego żadnej głębszej pracy nie trzeba, ale drobnych, towarzyskich talencików. Wszystko inne miała równoważyć: młodość i uroda. Już pod tym względem miał niejaki doświadczenie, że nadpełtewskim sylfidom lepiej podoba się młody i przystojny student niżeli uczony professor, któremu od wielkiej nauki nos się trochę przykrzywił...

Do tego kapitału, który już posiadał, potrzeba było jeszcze dodać jaki talencik.

Gra na fortepianie jest dobrą, ale potrzebuje wiele pracy. Napisać jaki artykułik w dzienniku, lub co łatwiejsza, jaką powieść dramatyczną, byłoby wprowadzić nader łatwo, ale do tego potrzeba znowu pracy i czasu, a przedewszystkiem, jak mniemał Stefus, chęci; ale właśnie tej chęci nie było, i literatura została prawdopodobnie uboższą o arcydzieło belletrystyczne!

Zgodził się więc na śpiew. Głos ma każdy człowiek, pomyślał sobie: trochę ćwiczenia i jakoś będzie!

Na jego szczęście miała stolica podówczas pewne stowarzyszenie amatorów muzyki. Stowarzyszenie to byłoby bardzo dobre, gdyby sobie założyło cel kształcenia ubogich ludzi w śpiewie, którzyby potem z tego śpiewu mogli mieć i dla siebie jaką korzyść i dla sztuki krajowej w czémś się przyczynili.

Stowarzyszenie jednak pominęło ten cel i ograniczyło się na prywatnej zabawie kilkunastu młodych kobiet, które się w domu nudziły i dla rozrywki w chórach prywatnie sobie śpiewały: rozumie się, że dla urozmaicenia tych chórów, stworzono i chóry młodzieży.

Było to jakby dla Stefusia wymyślone. Miał głos miły i sympatyczny, miał młodość, towarzyską ogładę, do tego zawsze modny tużurek lub frak najświeższego kroju: czyż tém wszystkiém nie można się zbliżyć do postaci szczęścia? Nauka to droga daleka, a tu... może być tylko jeden krok!...

Stefus zapisał się do śpiewu i zaraz w pierwszych tygodniach spodobała sobie głos jego jakaś młoda amatorka,

która prosiła go, aby ją odwiedzał dla wzajemnych exercycy muzykalnych.

Początek był dobry. Amatorka prowadziła dom dosyć otwarty, można było w nim przynajmniej dwa razy na tydzień berbatkę wypić, troszkę pośpiewać, a więcej się naśmiać i nażartować!

Czyż to nie przyjemniej, niżeli siedzieć gdzieś na poddaszu pomiędzy książkami?...

Prócz tego miał taki początek bardzo praktyczną stronę. Z jednej wziętej reduty można było ostrzeliwać cały mur forteczny: w domu amatorki robił Stefuś nowe znajomości, studyował je, wzbogacał swoje doświadczenia i czekał na ową zwierzynę, którą szczęściem nazywał!

Skończyło się jednak tutaj na niektórych doświadczeniach, ale zwierzyny nie było!

Nadszedł wkrótce karnawał. W karnawale wyprawiała młodzież kilka publicznych bali na cele dobroczynne, dawała przedstawienia amatorskie, i urządzała koncerty i loterye fantowe. We wszystkiém tém, rozumie się, prowadziła rej młodzież: w najetych karetach jeździła po domach, zapraszała, bawiła się dla wypoczynku w niejednym salonie; słowem rozrywali się wybornie: do tego potrzeba było być ubranym jak z pudełka.

Stefuś znalazł sposobność, że zawsze wkręcił się między tych szczęśliwych. Z białą krawatą, w białych rękawiczkach rozpierał się w karecie, rzucał lokajom galonowanym bilety swoje, z szykiem prawdziwie arystokratycznym; przemawiał z uśmiechem do hrabin i baronowych, a czasami nawet dla wypoczynku pozwolono mu zaciągnąć się papierosikiem.... a to jak mniemał tylko dlatego, że był przy stojny i młody!...

— Czegoż więc więcej potrzeba? — pytał siebie na schodach — jeśli to wystarczyć może?...

Na balu był jednym z gospodarzy. Gospodynią, której towarzyszył, była jakaś hrabina. Stefuś rozmawiał z hrabiną, jak równy z równą, bo w téj chwili nic go od niej nie dzieliło!

Był nawet fortencerem i organizował z niemałym talentem cały, długi kotylio! Był nawet przy tym kotylionie prawdziwym twórcą, bo wymyślał znakomite figury,

najzawikłańsze kombinacye, które potem jakby laską czar-noksiężką przy powszechnych oklaskach rozwiązywał!

To też w kotylionie tym był godnym zazdrości bohaterem. Z twarzą zarumienioną, z głową do góry wzniesioną wydawał rozkazy jak wódz naczelny, a cały gmin, między którymi były hrabiny, baronowe a nawet księżniczki słuchał go jak trzoda owiec słucha swego pasterza!

A ileż trofeów spadło nań w tym kotylionie! Pierś jego obwieszona była orderami, jakichby mu nie jeden dygnitarz pozazdrościł! Księżniczka dobijała się o niego, aby w jego objęciach przebiegać parkiety salonu! Czyż te ordery, które się zyskuje w krwawych bitwach więcej są warte? Tam można rękę lub nogę utracić, a tu tylko zyskać: tylko zarobić można!...

Niech tam piszą co chcą zgryźliwi pedagodzy o obo-wiązkach młodzieży, jeśli tu tak łatwo zyskać uścisk małej rączki, po uścisku serduszko, a po serduszkach... posażek, od którego procenta są czasem daleko większe od największej pensyi najwyższych urzędników!...

Tak myślał sobie Stefuś i z prawdziwym zapałem zataczał koła po woskowanych parkietach i czekał rychło-li udarowany będzie za tę pracę jakimś obiecującym wej-rzeniem?

Wejrzeń było mnóstwo, westchnień nie mało, nawet uścisk ręki czasem się wydarzył; ale to wszystko było tak po mistrzowsku niejasne i niezrozumiałe, że tego w żaden sposób nie można było uważać za prolog do realnego szczęścia.

Stefuś jednak tém się bynajmniej nie zniechęcał: uważał po prostu że jeszcze nie czas potemu; nabierał jednak zawsze wprawy na przyszłość i zaznajamiał się z drogami jakimi szczęście ludzkie chodzić zwykło. Na tych drogach miał je ułoić.

Nadszedł wielki post a z nim pora na koncerty i przed-stawienia sceniczne amatorów.

Stefuś znalazł i tutaj sposobność umieszczenia się w jak najlepszym świetle. W chórze stawał zawsze na przodzie w kunsztowném oświetleniu, co takie wrażenie pomiędzy amatorkami sprawiło, że chóry muzykalne literalnie

wyrywały go sobie, chociaż śpiewać właściwie jeszcze nie umiał! Ale młodemu i przystojnemu wszystko darowano!

— Ach, jego organ jest już śpiewem!—mówiła młoda adwokatowa do sąsiadki już podstarzałej, która w nim zaledwie początkującego ucznia widzieć chciała.

Najwyższym szczytem jego powodzenia była gra w teatrze amatorskim.

Stefuś grał rolę bohatera. Bohater, rozumie się był kochankiem. Miał swojej kochance wiele do powiedzenia, wiele razy do niej się zbliżał, brał ją w objęcia, klękał przed nią, a potem nawet jakby z przesyty tylu dobrych rzeczy, sztyletem się przebił!

Stefuś wykonał to wszystko z takiem mistrzostwem, że wszystkie kobiety bukietami go zarzuciły i póty mu oklaskami spokoju nie dały, póki z ziemi nie powstał i choć już był trupem, nie podziękował nader słodko wszystkim drobnym rączkom!

Teraz możnaby powiedzieć, stracił Stefuś prawie równowagę zmysłów. Do tego przyjaciel jego i kolega szkolny, który pisanem „Kronik” do gazet na chleb zarabiał, opisać szeroko całe to przedstawienie i głównego aktora nazwał po prostu.... geniuszem!

Stefuś uwierzył „Kronice,” rozrzucił po głowie włosy jak zazwyczaj wszyscy milczący geniusze czynić zwykli, i nastroił pretensyc swoje do stopnia, od którego zaczyna się kipiątek! Już nic przed sobą nie widział, tylko same olbrzymie sukcesy!

Rozumie się że i książek szkolnych nie widział!

Tym sposobem rok minął, egzaminu się nie zdało! Do domu bez atestatów nie było po co jechać, a zresztą czemże po tych successach stołecznych był dla niego dom rodzinny?

Napisało się więc do starego ojca liścik czuły, że choroba, która właśnie w same egzamina wybuchła, nie dała mu zdać tychże w porządku, ale ma je składać w czasie feryi przez które musi w stolicy pozostać.

Stary zegarmistrz zmartwił się, matka płakała nad chorobą jedynaka, Paulina wylała także kilka łez i w księdze cierpień swoich zaznaczyła sobie znowu rok jeden.

Stary piekarz radził sąsiadowi wejrzeć bliżej w tę sprawę, ale zegarmistrz nie miał znowu okularów i choćby chciał nie mógłby nic zobaczyć. Nie przyznając się przed sąsiadem zebrał nieco grosza i pod sekretem wręczył pocztmistrzowi, aby wysłał do stolicy na zapłacenie długów swego jedynaka, które dorosły już cyfry dosyć znacznej.

Swoją stronę to samo zrobiła i matka i zachowała sekret nie tylko przed piekarzem ale i przed mężem!

Piekarz jednak, który był niespokojnym duchem miasta dowiedział się o jednym sekrecie i o drugim i postanowił bez żadnej inicjatywy ze strony rodziców interweniować.

Wypadała mu właśnie w tym czasie podróż do parowego młyna który był za stolicą. Chciał więc skorzystać z tej sposobności i zbliżyć się w stolicy do syna swego sąsiada i przyjaciela, aby go w chorobie pocieszyć i ojcu zdać raport jak najdokładniejszy.

Nieszczęsny! Nie wiedział, co za okropny cios gotował Stefusiowi!....,

## VIII.

### Jedna scena.

Był to właśnie dzień gorący, prawdziwie sierpniowy. Ludność miasta stołecznego uciekała z rozpalonych kamienic i szukała cienia poza rogatkami miasta.

Najmilszém miejscem dla takich wycieczek jest tak zwana Zofijówka.

Zofijówka, to Szwajcarya nadpełtewska. W nader romantyczném położeniu między jarami i wzgórzami, otoczona lasem i stawkiem, a po skrzydłach przysiadłemi do ziemi cegielniami, daje Zofijówka mieszkańcom stolicy swój niejako pierwsze abecadłowe pojęcie o potędze i dziewiczym jej uroku.

Tutaj podczas feryi szkolnych wyprowadza stary pedagog najlepszych uczniów swoich i uczy ich *ex natura*, co to są góry i doliny, strumyki i jeziora. Wybrana przy cegielni ziemia daje mu sposobność zapoznania uczniów z różnemi formacyami, które tutaj rozumie się w miniaturze, w natu-

ralnych leżą pokładach. Po wyczerpaniu tych geognostycznych wykładów, pokazuje im pełzające po ziemi robaczki, i uczy ich rozróżniać bąka od trutnia. Nieomieszka im przytem powiedzieć, który kłos jest żytem a który pszenicą, zadając im później dowcipne pytanie: jak się nazywa bułka w dzikim stanie?

Ludzie słabi na płuca, którym się zdaje, że człowiek do prawidłowego oddychania powinien mieć dziesięć razy więcej powietrza, niżeli zazwyczaj w mieście każdemu wymierzają, wychodzą tutaj jak głodna załoga fortecy na zaprowiantowanie się powietrzem i czystą wodą kryniczną.

Emeryci cywilni i wojskowi zajądają tutaj żytne chleb z mlekiem w tém mniemaniu, że tym sposobem po czterdziestoletniej pracy biurowej i wynaturzoném życiu wojskowém wracają napowrót do prawideł natury, chociaż te prawidła sprawiają im niestrawność i bóle żołądkowe.

Najlepiej reprezentowaną jest tutaj Izba obrachunkowa. Ludzie rachunkowości obliczyli bowiem, że tutaj racye chleba z masłem i rzodkiewką są daleko większe niżeli po miejskich restauracyach, co także i o szklankach piwnych powiedzieć można. Zresztą zastępy te składają się po większej części z poetycznych pobratymców czeskich i sielankowych synów Germanii, którzy dążą tutaj, aby przy kufelku piwa podziwiać „*freje schöne Natur*” albo na przemian: „*Gde domow mój*” albo „*War ist den Deutschen Vaterland*” zaśpiewać.

Czasami wysunie się z długiego parowu szereg jednako ubranych sześciu dziewcz, starannie podług wzrostu uporzędkowanych. Kilku aplikantów idzie w assekuracyi tego orszaku, który zamyka poważny jegomość z twarzą w grube fałdy obleczoną.

Jest to ojciec sześciu córek, rodzic jakiś dykasteryi, który sprawiając córkom przyjemność dzisiejszej wycieczki, oblicza w duchu dosyć dotkliwy koszt sześciu czy raczej siedmiu porcy kawy i możliwą za ten expens korzyść co do widoków matrymonialnych.

Świata wyższego tam nie ma najczęściej. Jest to wycieczka zadaleka i nie ma wyższej reputacyi. Towarzystwo, które się wybiera, czyni to tylko dla ruchu. Niema

się tam przed kim popisywać ekwipażem i toaletą, bo konsumenci piwa i powietrza na tém się nie znają.

Wyjątkiem tylko zbłądzi tam karetą z herbem. Będzie to zapewne jakaś dogorywająca staruszka, której lekarz domowy jako *ultimum remedium* zapisał świeżą naturę.

Biedna ta natura! Po wyczerpaniu wszelkich kaprysów, po długich wędrówkach przez manowce i bezdroża, po zużyciu tego wszystkiego co kuchnia łacińska dać może, wracają owi ludzie do prawideł natury, jak owi emeryci do razowego chleba z mlekiem! Jest to jednak już często za późno, a jak owym emerytom spóźniona sielanka sprawia tylko boleści żołądkowe, tak i owym z honorariów lekarskich uwolnionym pacjentom nie wróci już natura sił utraconych.

Dzisiaj Zofijówka była dosyć osamotniona. Na „Pohulance” i „Cetnerówce”, w sąsiednich miejscowościach otworzono nowe restauracje. Amatorowie piwa i chleba z masłem udali się tam na zwiady, gdzie większe będą porcje. Na Zofijówce zostali tylko ludzie systematycznego porządku, którzy raz obranych programów nie zwykli dla łada nowości łamać.

Ci tylko siedzieli dzisiaj przy długich stołach w szeregach przeredzonych i smutno ruszali głową nad niestatkami rodzaju ludzkiego, który jeszcze dotąd nie pozbył się pierwiastku rewolucyjnego i ustawicznie ugania się za nowościami tego świata, które nic nowego dać nie mogą.

Przy jednym z osobnych stolików siedział młody człowiek, nader starannie wystrojony. Miał na sobie jasny ubiór, cały jednakowy z pewną fantazją zrobiony. Pod szyją ulokowały się olbrzymie kołnierzyki, mocno krochmalne, które nie pozwalały mu zginać głowę w sposób przyrodzony. Chcąc widzieć co przed nim na stole było, musiał cały korpus poniżej bioder zginać i tym sposobem przypominał nieco postać wielbłąda.

Nie było to pięknie, ale miało zawsze w sobie coś odznaczającego się. Był to Stefuś.

Założył na nos lornetkę, obejrzał starannie wszystkie stoły, przejrzał także nieliczny tabor dorożek i rozkazał sobie podać herbatę z różnemi przekąskami.

Herbata, ów napój czysto miastowy, który dobry jest, aby ciasne i ciemne ulice rozprzestrzenić i rozjaśnić; napój,

który tylko wtajemniczonym w jego sekrety ludziom udaje się; ów napój wśród rozległego widoku Zofijówki, wśród krzewiących się kufla piwa i mleka, był istną parodią!

To też jeszcze smutniej zaruszali głowami zacni emeryci, którzy w tém jedném słowie „herbata” oczywistą profanacją swojej ukochanej Zofijówki widzieli!

— Cóż to za elegant, który tutaj na herbatę przyjeżdża? — zapytał łysy bezwłosego.

— Ej! Nie!... Widać po tém oglądaniu się, że on tutaj na coś upatrzonego przybył!

— Być może! Ludziom próżnującym, głupstwa w głowie! Co dzień to widzimy!

— Największém głupstwem panie Michale jest: sześćdziesiąt ośm lat!

Łysy jegomość chciał podgarnąć sobie włosy, ale przypomniał sobie, że tych już nie ma, i zatrzymał rękę w połowie drogi. Bezwłosey rozśmiał się, trącił go łokciem i rzekł:

— Po co całemu światu ręką łysinę pokazywać! Świat i tak ją widzi, chociażbyśmy ją Bóg wie jak zakrywali! Ręczę panu, że z taką łysiną nie ma się już co tak oglądać, jak ten elegant!

Łysy był przyzwyczajony do żartów bezwłosego swego kolegi; to też nie nie odpowiedział, tylko żart ten sporym haustem z kufelka napił, a Stefusiowi pozwolił oglądać się podług woli.

Stefuś oglądał się ciągle, kazał nawet „panience” nie bardzo z herbatą się spieszyć, i uzupełniał co chwila rozkazy swoje co do dodatków herbacianych.

Stefuś nie pozwalał sobie codziennie takiego wybryku. Szczupła rodzicielska pensyjka nie wystarczała na to. Wprawdzie można było u kolegów coś pożyczyć, ale i to nie mogło pokryć kosztów lepszego życia. Przemysł jednak jego rozwinął się tutaj wspaniale.

Żyjąc w szerszym świecie, potrzeba było tym i owym znajomościom choćby napozór tylko wystawniejszém życiem wyrównać. Na to zaś nie było funduszków. Stefuś więc ułożył sobie taki program życia, że pięć lub sześć dni w tygodniu kontentował się suchym kawałkiem chleba lub skromnym jakim obiadkiem *incognito* w przedmiejskiej gar-kuchni, a raz lub dwa razy pojawiał się z fantazyą zasobne-

go człowieka w najpierwszych restauracjach i z pewną ostentacją zjadał drogie i wykwintne potrawy. Tym sposobem podtrzymywał relacje swoje z ludźmi, którym w wydatkach codziennych wyrównać nie mógł.

Zdaje się, że i herbata na Zofijówce należała do rzędu owych reprezentacyj, z jakimi od czasu do czasu się popisывał. Ale reprezentacja ta nie miała odpowiednich widzów. Emerycy nie tylko nie zbudowali się szumnie zapowiedzianą herbata, ale poczytali ją jeszcze na niekorzyść konsumenta wielkiem głupstwem a to raz dla tego, że sami herbaty nigdy nie pili, a powtóre, że herbaty na Zofijówce nigdy jeszcze nie widzieli, choć tu chodzili już od lat dwudziestu!

Pewną więc rzeczą było, że herbata Stefusia była obliczoną dla zupełnie innych widzów.

Jakoż w samą rzecz, z głębokiego parowu wysunęła się zwolna olbrzymich kształtów kareta, jakiej drugiej na całym obszarze dziesięcio milowym nie było.

Ekwipaż ten zwrócił teraz uwagę emerytów na siebie, którzy już i tak, jak zazwyczaj emerycy, usposobieni byli do widzenia świata w czarnych kolorach i poczytywania wszystkiego za głupstwo!

Poczęli więc o ekwipażu czynić sobie półgłosem różne uwagi i ubolewać nad ciemnotą ludzi.

Najprzód zwrócił ich uwagę furman siedzący na koźle tak wysoko, że zdawało się, iż po wierzchołkach sosen pojedzie. Furman ten miał całą liberyę, sięgającą aż po kostki szerokim galonem obszytą. Kapelusz na głowie trójgraniasty był także sporo szychem obszyty, a co najmocniej emerytów intrygowało, to był rodzaj epolety srebrnej na jedném ramieniu, którą furman od czasu do czasu nader dumnie potrząsał. Zdawało się że uważał tę epoletę za zaszczyt nadzwyczajny!

Niezwykła ta dekoracja furmana sprawiła, że podrażnieni rozkosznie tą nowością ulicznicy puścili się za ekwipażem zaraz od „Zielonego” galopem, a niektórzy uczyli się z tyłu i szczęśliwie aż do Zofijówki przyjechali mimo protestacyi akselbantowego jegomości, przed którą nader zřęcznie umieli się za olbrzymiem pudłem ukryć.

Tym sposobem ekwipaż przybył na Zofijówkę wraz z liczną załogą. Załoga ta zmuszona do opuszczenia swego

dotychczasowego stanowiska, otoczyła szerokim wieńcem szczęśliwego człowieka ze srebrną epoletą, a niektórzy nawet kusili się o tę dekorację, drażniąc ją z tyłu długim kijkiem..

Tymczasem z karety wysiadły dwie kobiety w strojach nader wytwornych.

Stefuś, który właśnie teraz już przy zastawionój herbatcie swojej siedział pospieszył do karety.

Jedna z pań była młoda i dosyć ujmująca. Miała ruchy nadzwyczaj żywe, trochę efektowna. Druga starsza mogła być tak zwaną: *dame de compagnie*. Była dosyć sztywna i milcząca.

— Ach! Pan już tutaj? — zawołała młoda — i już obłożony biszkoptami, ciastami, konfiturami!

— Nagromadziłem wszelkie słodczyce, — odpowiedział Stefuś, — na jakie tylko Zofijówka zdobyć się mogła, ale nie mogły mi one osłodzić gorzkich chwil oczekiwania!

Pani Aurelia (tak się nazywała młoda dama) podała mu drobną rączkę opiętą w ciasną rękawiczkę, pokazała szereg najbielszych ząbków i odparła:

— Widać ztąd, że brak idealniejszych przyjemności mógłbyś pan sobie wynagrodzić dobrą herbatą z biszkoptami, ciastem francuzkiem i konfiturą!

— Próba, jak się przekonałem, nie udała się!

— Bo pan niewłaściwe próby czynisz!... Daleko skuteczniej byłoby może długie chwile oczekiwania zastąpić poetyczną medytacją pięknej natury, tego ślicznego krajobrazu z lasem i stawkiem...

— Ach to wszystko takie nieme i zimne!

— Wszystko jest nieme, jeśli nie umiemy zapytać się i wydobyć odpowiedzi!

Oczy pani Aureli zmrużyły się i skoncentrowały na chwilę całe swe światło na bakenbardy Stefusia. Stefuś pogłaskał zato bakenbardy w nagrodę zwycięstwa i uśmiechnął się.

— Czasami, — odpowiedział — zamiast rychłej odpowiedzi lubimy zawieszenie wyroku, bądźto z obawy przed nie-szczęściem bądź szczęściem!

— Trzeba sobie na jedno i na drugie zasłużyć!... Wyobraź pan sobie, jakbyś pan korzystnie wyglądał, gdybyśmy tam z głębokiego jaru obaczyły pana na tém urwisku pod

konarem téj sosny tak poetycznie rozstrzępionéj... zamyślnego z wejrzeniem utkwioném.

— W herbatę z przekąską! To prawda, że to nie bardzo poetycznie. Ale ja jestem realnym.

— Zawsze mi to pan powtarzasz. Zaczyna mnie to już nudzić, bo przedsięwzięłam sobie nastroić pana jakoś poetyczniej. W pańskim wieku tylko poezya powinna nad wszystkiém dominować!

— Lubię poezyą w książce i to nie zawsze!

— A za cóż pan nas masz?

— Za poezyą realną, która nie gardzi nigdy dobrą herbatą i przekąską z konfiturami!

— Otóż mylisz się pan! Herbatą i konfiturami gardzimy na Zofijówce, bo trzeba przecież użyć tutaj sielanki!

Łysy trącił tutaj łokciem bezwłosego i szepnął do niego półgłosem:

— Cóż to za paplanina! Czy pan rozumiesz co z niéj? Ja jestem ciemny jak w rogu!

— Sześćdziesiąt ośm lat panie Michale, — odpowiedział bezwłosey, — to ciemność egipska w takich rzeczach! Już tam oni muszą się rozumieć, inaczej nie gadaliby do siebie. Gdy wróbel do wróbla ćwierka, to także się rozumieją, chociaż my z tego nic się dowiedzieć nie możemy!

— Chyba że to nie ludzie!

— Chciałeś powiedzieć panie Michale: nie-emeryci!

Łysy splunął z indygnacyi nad całym światem, który nie ma łysiny, a fertyczna dziewczyna nakryła tymczasem osobny stolik, do którego i Stefuś przeniósł się ze swoją wykwinutą herbatą.

Na stoliku pojawiły się szklanki mleka czyli śmietanki i jakieś ciasteczka czerstwe.

Podczas kiedy towarzystwo przy osobnym stoliku jak można najlepiej się zabawiało, a ulicznicy przedmiejscy prawdziwy szturm w skombinowanych kolumnach do srebrnego kutasa stangreta przypuszczali, dwaj emeryci opowiadali sobie o właścicielce karety różne informacyjne szczegóły, które tutaj w treści powtórzyć należy.

Pani Aurelia czyli jak ją powszechnie nazywano pani baronowa, była córką, a nawet zdaje się jedynaczką, praco-

witego ziemskiego właściciela, który w pocie czoła uprawiał piaszczyste swoje grunta.

Na tych piaszczystych polach rozwinęła się Aurelia bardzo ładnie według prawideł natury. Miała wdzięki ciała i umysłu a w dodatku dosyć nieszpetyny posażek, pracą ojca uzbierany.

Do tych wdzięków łącznie z posażkiem wdychało wielu powiatowych kawalerów, a każdy okazywał jęj swój afekt jak umiał. Jeden zajechał czwórką kasztanków przed ganek, chociaż cała okolica wiedziała, że na te kasztanki wystawiony był weksel na przyszły posag żony; drugi pojechał wprzód do Lwowa, kazał tam sobie głowę na dwie połowy symetrycznie rozdzielić i tak rozdzieloną głowę przyniósł pannie w ofierze na wszelkie przygody życia: trzeci sprowadził z Wiednia najmodniejszą krawatkę w jaskrawe pasy i nią przed jęj oczyma zabłysnął.

Byli również i tacy, którzy znani powszechnie w okolicy przybyli na codziennych wózkach swoich i mówili z ojcem o porobionych sprzętach w polu i prawdopodobnej spe-randzie wydatków....

Aurelia jednak żadnego nie akceptowała, bo z góry ułożyła sobie planik całej swojej przyszłości, a takięj przyszłości nie dawał jęj żaden z dotychczasowych konkurentów.

A przyszłość ta była żywcem wyjętą z jednego z francuzkich romansów.

Były to poprostu rozkosze salonu.

Romans francuzki wymalował jęj ten salon w wielkim świecie w tak poetycznych kolorach, z taką ułudą wszelkiego prawdopodobieństwa, że trudno było innego szczęścia pragnąć.

Było tam wszystko jakby na scenie jakiego teatru. Gospodyni domu siedzi na kozetce i przewraca jakiś dziennik ilustrowany. Słychać dzwonek. Lokaj przynosi kartę wizytową. Gospodyni czyta kartę, namysła się... wreszcie każe przyjąć. To pewnie intryga pani A. — myśli sobie i gotuje się do odparcia téj intrygi. Wchodzi pan B. Rozpoczyna się zęcna szermierka słów i spojrzeń... domysł był prawdziwy, pani A. intrygowała, ale się nie udało. Tymczasem nadchodzi trzecia osoba. Ta osoba zawiązuje teraz istny dramat. Idzie już teraz o losy dwojga ludzi. Któżby był tak okru-

tnym i pomagał do haniebnej intrygi. Przeba ludzi ratować. Gospodyni po mistrzowsku prowadzi całą akcję, która na wieczornej herbacie kończy się zwycięstwem nawpół już przegraną sprawą, a salony stolicy składają biletami wiotkowymi hołdy zrzęczości pani X. i polecają się jej pamięci!...

W drugim obrazie widziała siebie wśród swego salonu otoczoną adoratorami. Nie miała ona złych zamysłów, ale tak dla zabawki można sobie pewnej szermierki słów i spojrzeń pozwolić! Wszak to można tak mistrzowsko wszystko prowadzić, że to nigdy do niczego obowiązywać nie może, a przecież jest rozrywką, która sprawia pewne lekkie emocje....

Tak sobie jedynaczka wyobrażała „salon” i tylko za cenę takiego salonu chciała oddać przyszłemu mężowi serce, rączkę i posag.

Takiego jednak kandydata nie było. Każdy z nich chciał na wsi siedzieć i pracować. A tak zakwasie sobie całe życie nie było wcale życzeniem ładnej i żywej jedynaczki.

Otóż już w ostatecznej godzinie, gdy jedynaczka miała dwadzieścia sześć lat, przyjechał szpakowaty pułkownik od huzarów, który świeżo z pułkiem swoim w okolicy rozłożył się i porozumiał się z nią o szczęście małżeńskie. W skutek tego porozumienia opuścił nietylko, jak mówi Pismo święte, ojca i matkę, ale opuścił i pułk swój i przeniósł się do stolicy nadpełtewskiej, aby tamże swojej ukochanej ów wymarzony „salon” zbudować!

Pułkownik był baronem niemieckim, ale jak widać nie tegim strategikiem. Trudno bowiem było o gorszą pozycję dla „salonu,” jaką jest stolica Lwa.

Stolica Lwa nie czytuje prawdopodobnie francuzkich romansów, bo nietylko, że warunków „salonu” u siebie nie ma, ale nawet nic o nich nigdy nie słyszała!

Słowo „salon” zna tylko z powieści „Dzierzkowskiego” i dodaje zaraz do tego „ulica.” Bez tego dodatku nie umiałaby nawet sobie wyobrazić, jakim sposobem sam salon mógłby istnieć na świecie. „Salon” według tych wyobrażeń u niej to hrabia,—a „ulica” to szewc. Te dwa antagonizmy tworzą jedno i drugie, bo bez antagonizmów jedno i drugie istnieć nie może.

W salonie więc może tylko być hrabia, a szewc na ulicy. Szewc to często synowiec proletoryatu, a inteligencja to także proletoryat. Wnioski z tego dalsze są bardzo łatwe.

Takie miała, a może i dotąd ma stolica Lwa wyobrażenie o „salonie.” Nie winna ona temu, bo innych wyobrażeń jej nie dano, przynajmniej do czasu, gdy pani Aurelia tam salon zakładała.

Aby słowo „salon” oznaczało jak gdzieindziej w Europie zbiór ludzi odznaczających się w różnych zawodach publicznych, celujących uzyskaną pozycją w społeczeństwie, o tém tutaj nikomu się nie śniło!

Stosownie więc do niefortunnego dogmatu śp. Dzierżkowskiego „salon” mógł się tylko składać z samych hrabiów, do których czasami „koligaconych” przypuszczano.

Na nieszczęście pułkownik był tylko baronem, nie miał w kraju żadnych koligacyi, więc plan jego był niestrategiczny i nie taktyczny, jeśli przy ulicy Jezuickiej chciał dla swojej idealistyki założyć „salon” w takiem znaczeniu, w jakim go francuskie romanse pojmują.

Koledzy jego utrzymywali, że to nie był pierwszy, ale właściwie drugi jego błąd taktyczny....

Stosownie więc do życzeń swojej małżonki miał pułkownik przy ulicy Jezuickiej salon otworzyć.

Trzeba przyznać, że pułkownik wywiązał się z swego zadania bardzo zaszczytnie. Po dwutygodniowej bowiem pracy i frasunku stanęło sześć pokoiów starannie umeblowanych. Nie brakowało tam niczego, co zewnętrzną stronę salonu stanowi. Gdyby najwybredniejszego lokaja do tych meblami, firankami, portierami, lustrami i dywanami ubranych pokoi wprowadzono, i zapytano go jak jeden z takich pokoi nazywa, toby odpowiedział: „salon.”

Ale salonowi temu brakowało mimo orzeczenia lokaja, jeszcze pewnego dodatku, to jest szacownych gości. Otóż o nich teraz zaczęli się starać skrzętni małżonkowie.

Sprowadzono z Wiednia olbrzymią karetę, wybrano wysłużonego grenadyera na stangreta, przybrano nawet do assekuracyi karety przed ulicznikami strzelca z pioropuszem — jednak o gości było jakoś bardzo trudno!

Państwo baronowie porobili uroczyste wizyty, wyszafowali mnóstwo kart; ale za karty otrzymywali w zamian karty i to jeszcze nie od wszystkich dłużników, i na tém się skończyło!

Baronowa nie umiała sobie poradzić. Wykwintne stoły stały próżne, francuzkie dywany leżały nie tknięte żadną nogą na parkietach.

Pułkownik wpadł na trzeci z kolei nieszczęśliwy koncept i zaprosił swoich dawnych garnizonowych kolegów. Ci stawili się w komplecie, a nawet przewyższyli takowy.

Zrązu było to nowością dla baronowej. Palisandrowe stoły ugiwały się pod tortami i pieczenią sarnią, butelki strzelały plutonami, dym amerykańskich cygarów czernił tak samo białe firanki jak dym z prostych dwu-centówek.

Bardziej jednak niżeli ten dym brudne były rozmowy ochoczych gości. Dowcipy były trafne, ale czysto garnizonowe obliczone na mocniejsze nerwy. Owój lekkiój przeczystej szermierki słów i spojrzeń, o których marzyła baronowa, nie było nigdzie! Intryg miłosnych lekko naszkicowanych nie rozumiano, a sentymentalne urojenia brano za równo z głupstwem, które może być tylko rezultatem głodnego żołądka!

Baronowa zaczęła się rozczarowywać. Garnizon jój stawiał się każdego wieczorku w pełnej liczbie; zjadał sumiennie wszystko, co było na półmiskach, wypijał do ostatniej kropli, co mieściły w sobie flaszki i flaszeczki, ale natomiast nie jój nie dawał. Byli tacy, którzy przez cały czas ani słowa nie powiedzieli, tylko najadłszy się, szukali wygodnych kanapek, aby spokojnie trawić. Żadna historia, żadna choćby najdrobniejsza intryżka nie wywiązała się z tych kosztownych wieczorków. Żony garnizonu mówiły o smacznych ciastach; o przyprawie pieczeni i udzielały je z całą serdecznością swoich arkanów kuchennych, przy których Aurelia dostawała mdłości i spazmów!

Dała pułkownikowi znak niezadowolenia z gości swoich: pułkownik zatrąbił na odwrót. Trudna była sprawa z odwrotem, ale powoli jakoś to się zrobiło. Pole zostało oczyszczone z nieprzyjaciela, poległym ofiarom wysypano mogiły z wiankami wspomnienia i akt pierwszy się skończył.

Rola pułkownika była skończona, baronowa wzięła sprawę w swoje ręce. Mąż dostał dymissyą i mógł teraz swobodnie w kapenhauzie „wiedeńskim” prowadzić dalsze rozmowy z przyjaciółmi swymi garnizonu. Dymissya ta bardzo mu się podobała.

Trzeba przyznać, że baronowa heroicznie walczyła z anti-towarzyską chorobą stolicy. Jój olbrzymia karetą z olbrzymem na koźle kolebała się po całych dniach po nierównym bruku ulic, strzelec zsiadał i wysiadał na kozioł, biegł po schodach, roznosił bilety, ale wszystko nadaremnie! Domatorska stolica nie dała się niczém rozruszać, istniejące według zawodu lub urodzenia kółka zacisnęły się szczelnie aby żadnego nie uprawnionego przybysza do siebie nie przyjmując, a baronowej nie pozostało nic innego jak dumanie w samotnych salonach.

Złośliwi powiadali, że razu jednego widzieli pułkownika z arkanem pod pachą wychodzącego na obławę, aby jako tako salon swojej żony zaludnić, i utrzymywali, że znajomi wciągali na widok jego swoje szyje głęboko w tułowy, aby się tylko nie dać złapać!

Baronowa przeszła wszelkie możliwe warstwy ludności stołecznej, wpisała się do chórów amateerek i towarzystw dobroczynnych, kwestowała po domach i sprzedawała fanty i doprowadziła po dwuletniej ciężkiej pracy do tego, że mogła w swoim salonie mieć jednego artystę-muzyka, jednego malarza, dwóch dependentów od adwokatów, z których jeden grał na basetli, drugi na skrzypcach i trzech chórzystów ze stowarzyszenia z dodatkiem kilku pieczeniarczy, którzy w zamian za kawał mięsa znosili jój różne plotki miejscowe.

Za pomocą tego kontyngensu urządziła małe wieczorki muzyczne i bawiła się jak mogła.

Z pomiędzy trzech chórzystów pierwsze miejsce zajmował Stefuś.

Był on nieocenionym dla niej nabytkiem. Układał teatru amatorskie i grał razem z nią role pierwszego rzędu. Przytém był zawsze na usługach, czego tylko zapragnęła.

Dla Stefusia był salon pani baronowej nader wygodnym. Wchodził gdy miał czas, a nudząca się baronowa miała przynajmniej sposobność wygadania się, za co mu puł-

kownik był bardzo wdzięczny. Polubił go jak swego syna, a nawet w kawiarni grywał z nim w domino.

Baronowa w braku innego materiału widziała w nim artystę, a że w romansach artyści i poeci zazwyczaj ważną rolę odgrywają, toż i jemu chciała koniecznie narzucić jakąś rolę, któraby w sposób nader niewinny mogła ją trochę intrygować.

Dotąd jakoś nie mógł Stefuś nadać się do żadnej roli. Był wprawdzie mistrzem w rolach teatralnych, ale w życiu nie kwapił się do ról podobnych, bo talent swój, jak się zdaje, chciał chować dla tej roli, która miała być początkiem jego przyszłości. Kończyło się więc wszystko na pewnej szermierce słów, która mu sprawiała zadowolenie, że szermierzyć potrafi.

Taki był stosunek Stefusia do baronowej.

Napozór był ten stosunek dosyć niewinny, ale wywierał on na moralną stronę Stefusia pewien wpływ niekorzystny. Osobliwie przy dłuższem trwaniu tego stosunku uderzyło to w oczy.

Dla młodego człowieka, jakim był Stefuś, powinna kobieta mieć pewien urok tajemniczy, który mu tylko zwolna pozwala zbliżyć się do niej, by w niej ideał życia adorować. On powinien wprzód widzieć go tylko zdala, marzyć o nim, pragnąć zbliżenia, walczyć z przeszkodami i powoli wyciągać rękę do pół mglistej atmosfery, która ten ideał otacza.

Jest to tak zwany kwiat uczucia, nim w jakikolwiek owoc dojrzeje.

Barwa tego kwiatu ściera się łatwo, jeśli przedział, który młodego człowieka od świata oddala, nagle znika i pozwala mu żyć w tej pełni życia, do jakiej jeszcze dojść nie był powinien.

Baronowa była piękna, młoda kobieta. Miała pewne wykształcenie, wiele uroku i rutyny towarzyskiej, która jej towarzystwo czyniła miłym i pożądanym.

Stefuś w pierwszych dniach był tym urokiem wzruszony, jak każdy młody człowiek nim być powinien. Jego umysł ożywiał się przy jej słowach trafnych i dowcipnych, jego ucho mile chwytało ten dźwięczny i harmonijny głos kobiety, która czuła to co wymawiała.

Gdyby Stefuś poprzestał na rzadkich chwilach takiego wzruszenia towarzyskiego, byłby zachował wszystkie poetyczniejsze barwy swojej wyobraźni, które dla całego życia tak są potrzebne.

Ale Stefuś nie znał takiej ekonomii, bo takich barw nie cenił wiele. Baronowa nudziła się, Stefuś był codziennie dobrze widziany, rozmawiali o wszystkim, o czém tylko się dało, tak, że po jakimś czasie spoufalił się z tym ideałem życia jakby on był jego kolegą szkolnym!

Spokojnie siedział po długich godzinach rozparty na fotelu, zaciągał się papierosikiem jakby był w kawiarni, mówił albo drzemał lub poziewał, jak mu się podobało, a baronowa szczebiotała często bez należytego porządku w myślach, bo on właściwie był dla niej niczém!

Tym sposobem nabierał Stefuś pewnego fałszywego ożycia się w świecie, które czyniło go mało wrażliwym na rzeczy, które nim wzruszać powinny były.

Była to pewna starość moralna, która każdego wczesnie w świat rzeczywisty wchodzącego młodego człowieka ogarnia, a która najwybitniej okazała się na Stefusiu.

Młoda dziewczica, do której w towarzystwie się zbliżał, była mu rzeczą zupełnie obojętną, jeżeli naprzód jakiej myśli nie powziął. A jeśli to była dziewczica z niższych warstw towarzyskich, i nie miała takiego jak baronowa uroku wyższego świata, to zaledwie spozjrzał na nią.

Po jakimś czasie spostrzegła to nawet sama baronowa. Złożyła to na karb powszechnej dzisiaj u młodzieży choroby, która jakby wyżyta i przesycona życiem wyglądała a nie wiedziała, że jój postępowanie ze Stefusiem takie same skutki sprowadza.

Zauważyła od niejakiego czasu, że Stefuś nie o wiele się różni od starego pułkownika. O kobietach odzywał się w ten sposób, jak człowiek w całym życiu doświadczony i syt nawet już tego życia.

Stefuś nie był wcale takim, ale przez wczesne zbliżenie się do świata, przybrał takie pozory, naśladować starszych, którzy przypuścili go niejako do równouprawnienia. Najwięcej przyczyniła się do tego baronowa, chociaż o tém bynajmniej nie wiedziała.

Miała ona dawniej wyobrażenie, że u młodego człowieka jakiegobądź wspomnienie o kobiecie powinno wywołać choćby niewidzialny rumieniec, powinno przyspieszyć bicie serca i w głowie się odbić.

Stefuś jednak spoufalcony tak częstém jój towarzystwem odzywał się o kobietach takimi słowy, jak się mówi o psach i kotach, i zaprawiał te słowa pewnym cynicznym dowcipem. Miało to u niego oznaczać dojrzałość do świata i pewne realne zapatrywanie się na życie. Deklamował poezye Hejnego, i umiał doskonale trawestować Mickiewicza: „Powrót taty!”

Zrazu bawiła baronowę ta poufałość młodego człowieka, potem gniewała ją. Widziała że mimo wszelkich swoich wdzięków nie sprawia na nim żadnego wrażenia, chociażby one było najniewinniejsze, chociażby było tylko pewnym obowiązkiem każdej młodości.

Rozpoczęła więc kampanią. Zrazu prowadziła ją nader małemi subtelnemi środkami. Ubierała się dla niego staranniej. Rozpoczynała rozmowę z romansem francuzkim w rękę, opowiadała mu treść romansu, powtarzała mu sytuacją bohatera i bohaterki, urywała w połowie słowa, spuszczać swoje piękne oczy i doszeptując resztę jakimś dziwnie stłumionym głosem, przyczem piękny jój biust, wznosił się lekko jakby fale na cichém jeziorze przed burzą...

Stefuś na to wszystko po swojemu odpowiadał, bo kobieta siedząca przed nim nie wchodziła w rachunek jego przyszłości. Potrzeba było użyć środków silniejszych.

— Jak się panu moja fryzura dzisiaj podoba?—zapytała go raz po dwugodzinnéj pracy przy gotowaniu.

— Jest to fryzura—odpowiedział spokojnie—jakiś często używa księżniczka. Lubię tę fryzurę.

— Ale pan patrzysz na nią tylko z frontu: spojrzij pan jak ona w tyle wygląda?

Tu skrzyła szybko swoją piękną główkę i pochyliła się przed nim jakby do ukłonu.

Stefuś ujrzał prześliczną szyję cudownéj inkarnacyi, jaka kiedykolwiek istnieć mogła, z lekkim, aksamitnym meszkiem, który gubił się za tajemniczym rąbkiem rannego negliżyku.

— Bardzo misterna fryzura — odpowiedział — tylko wkradł się w skład loczków mały nieporządek.

— To popraw pan!—wyszepnęła baronowa a gorący jej oddech odbił się o batystową koszulę Stefusia.

Stefus zaś spokojnie, jakby był biegłym fryzyerem, dla którego zatrudnienie takie jest zatrudnieniem codziennym, odgarnął zabłąkane loki od małego uszka i przerzucił je na drugą stronę.

— Tak będzie dobrze—odparł i usiadł napowrót jak najwygodniej w fotelu.

— Pan powinien zostać fryzyerem!—zauważyła złośliwie baronowa zaciskając białe ząbki.

— Sądzę, że byłbym mistrzem w tym zawodzie!—rzekł z uśmiechem Stefus zapalając papieros.

— Nie przeczę, masz pan bardzo pewną i spokojną rękę!—dorzuciła baronowa.

Na tém skończył się atak, ale kampania nie skończyła się. Przeciwnie, baronowa uważała teraz za punkt honoru, użyć wszelkich środków, aby młodego Stefusia z tego przedczesnego indyferentyzmu wyleczyć. Nie działała tu w interesie własnym, ale w interesie tego wielkiego ideału życia, jakim jest kobieta. Tak przynajmniej tę walkę sobie przedstawiała, a nawet pułkownika w sojusz wciągnęła.

Pocziwy pułkownik cieszył się z dowcipnych planów żony, a najbardziej cieszył się z tego, że żona znalazła sobie rozrywkę, która uwolni go na czas niejaki od kłopotliwego starania się o gości.

Teraz rozpoczęło się na wszystkich punktach ostrzeliwanie nieprzyjaciela.

Grad pocisków padał na Stefusia. Bomby, granaty, pełne kule i kartacze, pociski napełnione wewnątrz masą zapalną, sznapugle i pułkule z łańcuchami, wszystko to dobyto z arsenału.

Zrazu sprawiało to Stefusiowi niejaka przyjemność, bo oczywiście rozumiał do czego to dąży; później jednak uspokoił się, bo wymierzone pociski sprawiły wprost przeciwny skutek.

Stefus przyszedł do przekonania, że baronowa szalenie w nim się zakochała. Zamiast widzieć w tém jakiegokolwiek szczęście, przypisał całą zasługę sobie i jako nieodparty zwycięzca serc kobiecych nastroił wyżej swoje marzenia, które nawet daleko po nad fryzurę baronowej sięgały.

Baronowa w jego oczach była tylko jedną z ofiar, jakich wiele może na drodze życia pozostawić będzie musiał, zanim do portu prawdziwego swego szczęścia zawinie!.. Dla baronowej mógł dzisiaj mieć tylko słowo politowania, że przypadek zbliżył ją do jego zwycięskiego rydwanu!...

Takie wyobrażenie miał teraz o sobie Stefuś po nie-szczęśliwym ataku baronowej. Uczyniło go to więcej cynicznym, zarozumiałym i na wszystko co go otacza, zimnym i obojętnym.

Tym sposobem filantropijne usiłowania baronowej pogorszyły jeszcze sprawę Stefusia. Ale baronowa była kobietą, ale program u kobiety równa się zmianie. Więc walka do ostateczności!

Wycieczka na Zofijówkę była niejako kontynuacją tej walki i z tego stanowiska trzeba sobie objaśnić pierwsze słowa między baronową a Stefusiem.

Wprawdzie siedzący obok nich emeryci trochę odmien- nie zapatrywali się na tę sprawę, ale im we wszystkim wiary dać nie można, bo jako ludzie starzy i zgryźliwi nie lubią o świecie dobrze mówić.

Stefuś popijał z wolna swoją herbatę, bawił się krokoszem farbowanymi cukierkami, a różowe usteczka baronowej maczały się od czasu do czasu w białej śmietanie, jakby się okryć chciały śnieżną zasłoną.

Rozmowa była urywana jak każda wojna która od walk większych przeszła w partyzantkę. Skakano z przedmiotu na przedmiot, od stawku do cegielni, od sosny do buku. Całego bożego stworzenia użyto, aby siebie wzajemnie zwał- czać, i w końcu gdy od stawku chłodny wietrzyk wieczorny zawiął, powstano z wielkim szelestem i kazano olbrzymowi z axelbantem podjechać.

— Pan z nami wrócisz — rzekła do Stefusia baronowa —mam nawet planik na dzisiejszy wieczorek. W tej porze niepodobna dawać większych wieczorków, ale powtórzymy sobie nasze role do przyszłego amatorskiego przedstawienia.

— Znam już każde słowo, które pani masz mi odpo- wiedzieć —ozwał się Stefuś z uśmiechem—a wiedzieć wszy- stko tak naprzód, to nudno, strasznie nudno!

— Właśnie że pan nie wiesz, jaką niespodziankę panu gotuję —odpowiedziała baronowa.

— *Voilà le mat!* Na to się zgadzam!—rzekł Stefuś i podał ramię baronowej.

Mimo rzuconych przez obu emerytów kilku tysięcy djabłów wraz z beczkami i furgonami odjechała karetka do syć szczęśliwie po małej utarczce z ulicznikami w wąwozie, i po godzinie drogi jednostajnego dudnienia zatoczyła się przed nową dwupiętrową kamienicę przy ulicy Jezuickiej.

— Czy nie czujesz pan tego skwaru?—zapytała baronowa wystawiając małą nóżkę na stopień.

Nie miał czasu Stefuś odpowiedzieć na to, bo potrzeba było podać obie ręce baronowej, która się lekko na jego ramionach oparła. Stefuś przyznał, że rzeczywiście dzisiaj jest gorąco!

Potém podał ramię baronowej i oboje powoli weszli na szerokie schody.

Baronowa była mocno zmęczona. Opierała się na ramieniu Stefusia i jakoś powoli, przy wzajemnej pomocy weszli nareszcie do salonu.

W salonie były jeszcze rolety od słońca pospuszczane. Nadawały mu one koloryt prawdziwie zielonkowy, większa bowiem część przedstawiała widoki różnych okolic. Zielonawe światło przebijało się przez lasy i łąki i czyniło salon podobnym do altanki ogrodowej.

Baronowa rzuciła się na fotel. Schody zmęczyły ją jeszcze bardziej. Zdjęła kapelusik z głowy a z kapelusikiem odpiął się także jeden obfity warkocz i powoli stoczył się na białą szyję.

Po chwili i chusteczka koronkowa tamowała jej oddech pełną pierśią. Dwoma paluszkami wysunęła ją z po za rąbka sukni, zdjęła z szyi i rzuciła na stół przed sobą.

— Jak pan nie możesz czuć tak straszego gorąca?—zapytała ruszając wachlarzem.

— Nigdy w lecie nie czuję zbytniego gorąca, za to w zimie i zimna nie czuję—odparł Stefuś.

— Toś pan szcz... nieszczęśliwy!—wykrzyknęła nagle poprawiając się.

— Nieszczęśliwy?—powtórzył Stefuś, który takiego zwrotu wcale się nie spodziewał.

— Alboż to nie jest prawdziwem nieszczęściem być na wszystko nieczułym?

— Czyż to się odnosi także do gorąca i zimna?

— Wszak mamy na wszystko jedne i te same nerwy!

— Zdaje mi się, że czułość zawisła więcej od ..... serca!

— Od serca?... Wszak serce, to nerwy, powiedziałeś pan niedawno!

— Czy tak powiedziałem?... Nie przypominam sobie. Jeśli tak było, to miałem prawdopodobnie jakieś powody do tego!... Czy pani baronowa sobie nie przypominasz jakie?

— Były to zapewne powody nie wielkiej wagi, jeśli pan o nich zapomniawszy!

— Być może. Są powody, które mają tylko chwilową wartość!

Baronowa spojrzała z ukrytym gniewem na dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca, który w ten sposób z nią rozmawiał. Zdawało się jęj teraz, że ona po części temu była winna.

— Chciałabym z panem mówić, gdy pan będziesz miał lat trzydzieści kilka!—ozwała się.

— Nie wiem, czy o wielebym się zmienił!—odpowiedział Stefuś.

— Mnie się zdaje, że pan będziesz wtedy starcem!

Stefuś przeszedł ręką po bakenbardach, skrzywił się poprawiając lornetki i odparł:

— Weszliśmy w rozmowie w nieprzyjemną sferę!

— Więc trzeba ją nagle czémś przerwać!... Powtórzmy nasze role do przyszłego przedstawienia... ale, przynajmniej ja z mojęj strony—w kostiumie!

— Czy to ma być niespodzianka?

— Czy za mało panu tego? *Attendéz!*

Wymówiwszy te słowa wstała z fotelu i wyszła do przyległych pokoi. Towarzyszka baronowej, która była Szwajcarką i nic po polsku nie rozumiała ukazała teraz Stefusiowi jakieś album, aby go czémś zabawić.

Za dobrą pół godzinę wyszła baronowa. Miała na sobie jakąś powiewną, napół przezroczystą suknię z błękitnej gazy. Włosy były w nieładzie rozpuszczone. W rękę trzymała złocisty pasek.

Był to kostium teatralny, który miał przedstawiać ranny strój markizy z jakiejś francuzkiej komedyi. Stefuś grał w téj komedyi rolę kochanka.

— Nim jednak próbę rozpoczniemy, — szczebiotała słodko baronowa, — to jest, nim się widokiem pana przestraszę, żeś w takim rannym kostiumie mnie zeszedł, pozwól pan, że wypełnisz pierwój służbę kamerdynera, czy raczej pokojówki. Czy wszędzie gładko suknia leży?

Baronowa obróciła się tutaj zwolna. Cała jej postać była piękną, jak postać Wenery.

— Wszędzie dobrze, — odparł Stefuś, ale ciągle jeszcze patrzył....

— Zdaje mi się, że te fałdy nierówne, — rzekła podnosząc z przodu suknię i wystawiając małą nóżkę.

— To tylko tak się pani wydaje! — odpowiedział Stefuś i spuścił oczy na nóżkę.

— A jak się panu te szerokie rękawy podobają? — zapytała z uśmiechem złośliwym i podniosła rękę do góry.

Stefuś spojrzał na szeroki rękaw i ujrzał w nim białą okrągłą rękę aż prawie po ramie.

— Te rękawy bardzo dobrze ubierają! — odparł zapuszczając jeszcze raz oko w głąb tego rękawa.

— A teraz trzeba jeszcze ten pasek ubrać, i zaraz zaczynamy! .. Za ciasny.... możebyś pan mi pomógł!

Stefuś był już nieco do roli swojej przygotowany. Jeszcze jednak musiał pomódz pasek zapiąć.

— W samą rzecz, jest trochę za ciasny, — odrzekł ściągając paskiem elastyczną kibić baronowej.

Zapięcie paska zabrało trochę więcej czasu. Baronowa pomagała mu, ręce ich często się razem spotykały.... pasek stawał się jakoś coraz krótszym. Wreszcie udało się, Stefuś podniósł głowę do góry.

Baronowa spojrzała z lekkim uśmiechem na Stefusia, który włosy sobie odgarnął z gorącego czoła.

— Teraz przystąpmy do naszej roli! — zawołała i odskoczyła na kilka kroków.

W roli:

*Ona:* Przebóg Edwardzie! Ty mnie zgubisz!... Gdyby mój mąż....

*On:* O gdyby samo piekło stanęło mi w drodze!.. Wyzwę i zwyciężę!

*Ona:* To szal mój drogi! To szal, to nie miłość, to nie to uczucie, którego jest wieczność!...

*On:* Miłość nie rozumuje mój aniele! Miłość to ślepe dziecko z oczami zawiązanemi!...

*Ona:* Miłość to łódka na falach jeziora, ale łódka bez steru i zagli utonie!

*On:* Dosyć tych pięknych słówek!... Powiedz mi Julio czy markiz dzisiaj odjedzie?

*Ona:* Wiesz Edwardzie, że on nigdy naprzód o tém nie mówi!

*On:* Potrzeba mi koniecznie o tém wiedzieć. Raz muszę te sprawę życia zakończyć!

*Ona:* Przebóg! Ty chcesz krwi? Chcesz śmierci, chcesz mordu?... O mój Boże!... I ja tego człowieka kochałam! Jam temu człowiekowi oddała całe życie moje, a on... a on chce mi męża zabić!

*On:* Tak Julio, chcę ci męża zabić, abym potem mógł być twoim!...

*Ona:* Ach mój biedny Alfons!... Jesteś złoczyńcą mój drogi! Złoczyńcą jesteś!

*(Kochanek bierze się pod boki, śmieje się śmiechem homerycznym a potem siada).*

*On:* Zadziwia cię mój śmiech Julio, ale pozwól wytłumaczyć się z niego. Śmiałem się z wielkiego zadowolenia, że przecież raz przekonałem się, że mnie wcale nie kochasz!

*Ona (rzuca się na niego):* Jakto książę! I ty po tylu dowodach możesz mi tak okropne słowa powiedzieć?

*On:* Dałaś w téj chwili dowód najlepszy!

*Ona:* Jakiż dowód?

*On:* Przecież wiesz, jeśli się pojedynek odbywa, to niepewna jest który z dwóch zginie!... Tyś tylko myślała w téj chwili o śmierci męża, a o mnie wcale nie! Moja śmierć była ci obojętną!

*Ona (biorąc go w objęcia):* O mój drogi Edwardzie! Przebacz mi, przebacz!... Prawda, że o mężu pierwój myślałam, ale widzisz.... przyzwyczajenie.... dziesięć lat pożycia małżeńskiego a zresztą ślub przed kapłanem.... wszystko to połączyło się razem, aby o nim pierwój pomyśleć.... ale serce moje zawsze i wszędzie tylko tobie, i jeszcze raz tylko tobie oddane!...

Tu pochyliła się baronowa nad Stefusiem i nastąpiła chwila milczenia.

*On:* O jakżem szczęśliwy!... Nie wiedziałem, że te usta mają tyle trucizny oraz i tyle słodyczy!...

W téj chwili uderzyła grających komedya zmiana oświetlenia w salonie.

Baronowa spojrzała na drzwi; drzwi były otworzone: na progu stał jakiś obcy człowiek.

Był to jakiś przedmieszczanin w siwój kapocie, czerwonym pasem opasany. Na kapocie było sporo mąki, jakby we młynie mieszkał. Włosy miał siwe, ręce grube, narobione.

Baronowa krzyknęła i zasłoniła sobie zrazu oczy.

— Przepraszam aspanią dobrodziejkę, — odpowiadał nieznajomy, — szukałem służącego, ale nigdzie go nie znalazłem, a konie z bryką na ulicy czekają. Jestem Mikołaj Placek, piekarz i sąsiad imci pana Marcina Tarły zegarmistrza naszego i przychodzę właśnie za zleceniem jego, abym widział się z jego synem panem Stefanem, o którym mi powiedziano, że tylko tutaj u aspani dobrodziejki mogę go znaleźć!... Otóż i znalazłem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jakże się macie panie Stefanie?

Stefan poznał wprawdzie dobrze znany głos starego piekarza, ale nic mu nie mógł odpowiedzieć.

Zdawało mu się, że nagle skamieniał, zaczawszy od wielkiego palca a skończywszy na języku. Nic mógł ani powstać, ani przemówić.

Baronowa odstępiała kilka kroków od improwizowanego księcia. Była to w każdym razie niespodzianka nader nieprzyjemna.

— Rodzic wacpana, — mówił dalej piekarz, — kazał się zapytać, czyś pan otrzymał przez Mordkę owe pięć reńskich co panu posłał na buty i książki?

Buty i książki ocuciły Stefusia. Śród takiej poczyi salonowej o butach i książkach, relacya ta więcej niżeli wymysł szatański!... Baronowa jeszcze do siebie przyjsć nie mogła.

Ale Stefusiowi groziło jeszcze większe niebezpieczeństwo! Stary piekarz mógł dalej gawędę prowadzić, mógł różne rzeczy wypowiedzieć w naturalnej czy udanej prostocie swojej....

Zerwał się więc z fotelu, na który księciem usiadł, chwycił za kapelusz i rzekł do baronowej:

— Przepraszam panią, interesa powierzone mi przez trzecią osobę zmuszają mnie rozmówić się z posłańcem....

Baronowa ukloniła się grzecznie a Stefuś wypadł za drzwi popchnąwszy przed sobą piekarza.

Zdaje się, że w téj chwili czuł łyż pod powieką i przeklinał siebie, że się przynajmniej nie urodził baronem!

## IX.

### Z a l b u m u.

Katastrofa ta była bolesną, ale stało się, i odmienić jęj nie można było; zresztą ulica Jezuicka była jedną z pięćdziesięciu ulic i uliczek stolicy, pozostało mu zawsze czterdzieści dziewięć.

Chodziło więc tylko, aby możliwym oskarżeniem piekarza skutecznie zapobiedz.

Gdy nad tém trochę pomyślał, okazało się, że jeszcze z tego niejaka korzyść wyciągnąć może.

Napisał więc prędko długi list do rodziców, opowiadając im o piekarzu, który go znalazł w salonie pewnej hrabiny, do której był zaproszony, aby się przygotować do wystąpienia w teatrze na cel dobroczynny. Wezwał przy téj sposobności piekarza za świadka, jak bogatym był salon, w którym go zastał i jak wielką była pani, z którą rozmawiał. Wpływało oczywiście z tego, że do takich domów musi się porządnie ubierać i że rodzice, jeżeli jemu drogi do szczęścia zagrozić nie chcą, to dadzą mu sposób ubrania się tak, jak tego jego pozycja wymaga.

Gdy stary zegarmistrz ten list przeczytał i właśnie głową chciał na to pokiwać, rozplakała się matka z wielkiej radości, że Stefuś do wielkich państw w gościnę chodzi i że niezawodnie wielkie szczęście spotka go na świecie! A kiedy stary piekarz z mąką nadciągnął i swoją opinię inaczéj wyraził, opisując panią i jęj bogate komnaty, pani Marciniowa zapomniała o opinii sąsiada a upoiła się bogactwem komnat, w których Stefuś na krześle się rozpierał i była przekonana, że jęj ładny i piękny Stefuś przynajmniej z księżniczką ożenić się może.

I nie dała mężowi póty spokoju, póki dużego listu nie złożył i kilka cedulek bankowych w nim nie zapieczętował!

Tym sposobem Stefuś jeszcze zyskał na tój fatalnej katastrofie. Wprawdzie stosunki z baronową oziębły się bardzo od tego wypadku, ale Stefuś jakoś tём się teraz bardzo nie martwił.

Baronowa nie była kobietą bardzo przesadną, ale samo zdarzenie było tak dziwne i tak tragi-komiczne, że całą jęj dawną tkankę fantastyczną porozdzierało w kilku miejscach nielitościwie.

Zresztą byłaby może i darowała Stefusiowi tego zamężzonego piekarza i przekaz o butach, gdyby Stefuś sam nie był tem tak skonaternowany, że w możliwość dawnęj przyjaźni nie wierzył. Już mu w całej jęgo roli tam coś zawadzało, już nie był panem siebie!

Bywał tam wprawdzie czasem, bo zdawało mu się, że cały świat zwróci na to uwagę, jeżeli nagle przestanie tam bywać, ale próby teatralnęj już nie powtarzał.

Nastąpiła między nimi jakaś milcząca ugoda, aby nadal na zwykłęj obojętnęj stopie pozostać.

Stefuś wynalazł sobie inny podobny salon, a salon ten był dla niego tём miłszym, że wchodził do niego jako człowiek zupełnie świeży.

Tym sposobem upływało dalsze życie Stefusia. Składało się ono z podobnych obrazków, mniej więcej do siebie podobnych, jaki dopiero co opisaliśmy.

Nabierał on coraz więcej wprawy do życia towarzyskiego, a jakkolwiek książki szkolne i inną pożyteczną naukę zupełnie zaniedbał, nie zaniedbał jednak uczyć się tego wszystkiego, co tylko w towarzystwie, do którego się ciskał, popłacać mogło. Uczył się najnowszych tańców i języka francuzkiego, umiał strzelać i rąbać się na pałasze, nabył także powierzchownych wiadomości o koniach i psach. Zawiażywał stosunki, gdzie tylko się dało, brał w entrepryzę wieczorne zabawy z tańcami, dostarczając tancerzy zdrowych, młodych i zdolnych.

Tym sposobem wyrobił sobie pewne stanowisko między młodzieżą, która bez niego nic zrobić nie mogła. Jeżeli jaki rywal obok niego stanął, to miał w zanadrzu mnóstwo go-

towych i nader skutecznych intryzek, któremi w krótkim czasie z wielką chwałą pokonywał nieprzyjaciela.

Mianowicie strasznym był dla karnawałowych kawalerów, którzy w tym czasie zjeżdżali się do stolicy z różnych powiatów, aby w posażnych pannach się zakochać i je złować.

W takim razie potrzeba było starać się najprzód o jego przyjaźń. Miał on po różnych domach znajomości i mógł tych znajomości użyć na korzyść lub niekorzyść pretendentów.

A posiadał właśnie dla nich broń najstrasliwszą, to jest miał talent ośmieszania drugih.

Talent ośmieszania drugih to zaiste broń okropna! Wymaga on wprawdzie wiele dowcipu i zręczności, ale te właśnie posiadał Stefus w wysokim stopniu. Umiął różnym osobom nadawać nader zręczne i charakterystyczne przezwiska, zmyślał różne anegdotki o nich, opowiadał je z dowcipem i taką bezkrwawą bronią, zabijał biedne ofiary na śmierć.

Mowiono nawet, że ten talent przynosił mu pewny dochód, bo przyjaźń tak niebezpiecznego człowieka trzeba było czémś okupić, chociażby tylko pod formą pożyczki.

Tym sposobem minęło lat kilka.

Stefus miał już teraz gęste i bujne bakenbardy i lat dwadzieścia sześć.

Co roku prawie zapisywał się na kursa, kupował książki, poświęcał się niby temu lub owemu specyalnemu przedmiotowi, miał nawet zamiar zostać professorem ekonomii politycznej, a w najgorszym razie objąć redakcyę jakiego pisma, jak o tém baronowej raz opowiadał, ale skończyło się dotąd tylko na marzeniach, bo na egzamina i redakcyę pism jakoś czasu mu niestało, chociaż o zdolnościach swoich do tego zupełnie był przekonany!

Tym sposobem wyrobił się powoli do pewnego typu pewnej części młodzieży dzisiejszej, która niby wszystko wie i umie, do wszystkiego ma zdolności i potrzebne przymioty, mogłaby pisać poemata, dramata i powieści — tylko że nie chce!

Z takiego patrząc stanowiska patrzyła młodzież na wszystko z góry, mozołną pracę ludzi rzetelnie pracujących ma za nic, z politowaniem uśmiecha się na widok rzeczy już

dokonanych przez drugich, bo ona daleko więcejby zrobiła—gdyby chciała!

Ale że na nieszczęście nigdy nie chce, to też nigdy po niej nie ma!

Taką drogą szedł także Stefuś. Rozповідаł kolegom o szerokich planach przyszłej działalności swojej, potępiał w czambuł dzienniki, literaturę i politykę krajową, śmiał się nawet czasem z Mickiewicza i Pola, stawiając im na przeciw Homera i Szekspira i żałował tylko, że mu czas i stosunki nie pozwalają wziąć się do pióra!

Jest nawet podejrzenie, że w „kronikach” niektórych dzienniczków robił *anonim* małe wycieczki sarkastyczne przeciw ludziom zasłużonym, ale to tylko tak dla zabawki. Na seryo do tego zawodu przystąpić nie chciał, bo to nie dawało żadnych realnych, czyli, jak się zawsze wyrażał, *pozytywnych* korzyści.

Przy tak szeroko nakreślonych planach były egzamina szkolne dla niego rzeczą tak drobną, że jój przy końcu każdego semestru nigdy nie dojrzał.

Do starego ojca pisało się różnie: raz że zdał, drugi raz znowu że plan swojej przyszłości zmienia, że temu lub owemu zawodowi się poświęca, że ma przyobiecany od księcia urząd bardzo intratny w krajowém towarzystwie i t. p.

Staremu zegarmistrzowi czasem smutno się zrobiło za synem i cedułkami bankowymi, ale wierzył w jego mądrość i naukę i był pewny, że dobrze w świecie się pokieruje.

Stefuś już od lat trzech nie był w domu rodzicielskim. Tłumaczył się że nie ma czasu, że jest zajęty naukami; raz tylko i to *incognito* odwiedził rodziców, o czém nawet miasto nie wiedziało.

Co do nauk ścisłych, do których ojciec i proboszcz zawsze go zachęcali, rozumował sobie Stefuś w ten sposób:

— Gdybym z celującym nawet postępem całe rzymskie i austriackie prawo skończył, do czego potrzeba mi cztery lata mozolnej pracy, to miałbym nadzieję służby bezpłatnej jako aplikant przez trzy lub cztery lata; potem dano-by mi za siedm godzin dzienną pisaniny w brudnej izdebce trzysta guldenów, z nadzieją, że po dwudziestu latach pilnej pracy mogę otrzymać tysiąc!... Czyż nie jest to zmarnowany czas? Czyż ten czas jako kapitał użyty nie mógłby mi przy

moich zdolnościach przynieść poza służbą rządową dziewięć razy tyle?...

Tak rozumował Stefuś, ale w głębi myśli miał inne widoki. Przekonał się gruntownie, czego właściwie w towarzystwie, w którym brał udział, od człowieka młodego wymagają, aby miał jakie takie powodzenie! Młode kobiety, które się w samotności nudziły, nagadały mu tyle pięknych rzeczy o jego oczach, bakenbardach, rozumie i dowcipie, że już nie nie potrzebował. Na cóż, myślał sobie, przyda mi się głębsza nauka, jeśli jeden z ręcznie poprowadzony kotylion przeciąga do mnie wszystkie młode panny i mężatki, podczas gdy professor wszechniczy samotnie pod piecem stoi? Czy nie można z tak korzystnej pozycji skorzystać i od jednego zamachu wziąć sobie towarzyszkę życia, której posag może być większy niżeli cała dotacya uniwersytetu?...

Myśli te były dotąd tylko marzenia, ale teraz nadszedł czas, aby je zrealizować.

Stefuś długi czas stał pewnego dnia przed zwierciadłem w swoim pokoiku i przy cichym monologu muskał starannie swoje bakenbardy, które już były tak wielkie jak skrzydła u wiatraka.

— Zdaje mi się, — mówił do siebie, — że byłby już czas spróbować szczęścia. Nadeptałem się po salonach i pokojach już dosyć. Znam świat i wiem jakimi drogami chodzić. Kobietom się podobam, mam tego niezaprzeczone dowody. Jeżeli u doświadczonych kobiet, które z tysiąca mogą wybierać, mam takie szczęście, dlaczegoż nie mógłbym znaleźć jakiej posażnej panny, któraby mnie pokochać mogła?...

Nastąpiła pauza w monologu. Słowo „kochać” zbudziło w jego sercu jakieś dziwne wzruszenie.

Cóż to było za wzruszenie? Czy jakie wspomnienie przemknęło po strunach duszy, które zabrzęczały dziwną harmonią?... Czy drobna rączka baronowej trąciła je, czy różowe paluszki pani Idalii wzięły ten akord tak pełny i czarujący?... Nie, to nie były żadne wspomnienia, on takich wspomnień nie miał, któreby tak przyjemnie grały; to jakiś dźwięk zabłąkany: to głos przemijających instynktów!...

Przeszło: serce uciszyło się.

Stefuś spojrzął znowu do zwierciadła: w zwierciadle ujrzał nader przystojnego mężczyznę!

— Znam serca kobiece, — mówił dalej do siebie, — wiem jakiej strawy im potrzeba. Mogę im tego wszystkiego dostarczyć. Czyż to się innym nie udaje? Czyż Władek, który prócz bujnej czupryny na głowie nic w głowie nie miał, który tylko za pożyczone na weksle pieniądze sprzągnął jedną maści czwórkę i karykel stary od hrabiego Wilhelma wyszachrował; czyż nie ułowił rączki i posagu panny Agapity, która przecież do najświetniejszych partyi należała?... I to uczynił Władek, głupiuteńki chłopiec jak but z lewej nogi, który tylko frak miał modny i po francuzku nie źle paplał! Czegóż więc pannom naszym więcej potrzeba? Jeżeli one tak tanio się sprzedają, dlaczego drożej za nie płacić? Po cóż umartwiać ciało nauką mozolną, po cóż brać na siebie ciężkie obowiązki względem społeczeństwa i Boga, jak mówią, jeśli tego wszystkiego do ostatecznego celu życia nie potrzeba? Przeciwnie, życie pracowite skręca nam grzbiet i wykrzywia barki, obciąża nasze ruchy i czyni nas niezgrabnymi, co u kobiet bardzo wiele znaczy! Czyż Ferduś chłopiec prosty jak świeca i zgrabny jak wiewiórka, za którym panny przepadają, mógłby być takim, gdyby przy stoliku pracował zamiast tańczyć po całych dniach, jak to czyni? *Mundus vult....*

Nie dopowiedział łacińskiego frazesu, bo coś go nagle zakrztusiło. Odszedł od zwierciadła i przeszedł się kilka razy po pokoju. Za każdym krokiem patrzył na nogi, czy się według prawideł uginają; patrzył także na buty ze skóry lakierowanėj, czy ich forma nie wykracza jeszcze przeciw regułom.

— Czasu już tracić więcej nie można, — mówił dalej, — mam lat dwadzieścia sześć! Trzeba na zwierzynę uderzyć, ale pytanie: jak i gdzie?

Na pytanie: jak? nie było mu trudno odpowiedzieć, nie miał bowiem w tym względzie wiele do wyboru.

Doświadczenie wskazywało mu, że najlepszym i powszechnie praktykowanym środkiem do zajęcia serca panieńskiego, mającego posag znaczniejszy jest: karykiel, cztery konie w angielskich szorach, służący w liberyi i obcisłe rękawiczki. Jeżeli do tych akcesoryów nie ma się widocznego majątku, to trzeba koligacyi z jakąś rodziną znaną i zamożną, na kartach wizytowych herbu i choćby jakiejś pozornej

dzierżawki, za którą tymczasem żydek, niby subarendator płaci!

To wszystko było dla Stefusia niepodobném. O karyklu i czterech koniach nie mógł ani myśleć, to samo i o służącym w liberyi, a chociaż z nazwiskiem możnaby się było do nieboszczyka wojewody przyłączyć, to przecież nie dałoby się to zrobić w stolicy nadpełtewskiej, gdzie stary piekarz już go raz niemilosiernie skompromitował.

O tych śródeczkach więc nie można było wcale myśleć; pozostał tylko jeden środek, to jest: miłość!

Zdawało się Stefusiowi, że ten środek jakby dla niego był stworzony.

Mógł kochać jak tylko bohater na scenie kochać może, mógł być kochanym aż do szaleństwa Ofelii, a wtedy wszystko dałoby się zrobić i bez karyklów i bez koni.

I takie zdarzenia bywały już za jego pamięci w stolicy nadpełtewskiej.

Na drugie pytanie: Gdzie? nie można było tak prędko odpowiedzieć. Tutaj trzeba było dobrze się namyślić, bo wszystkie większe bitwy nie tyle od męstwa wojsk jak od terenu zawisły!

Jakiż to teren wybrać do téj walki o przyszłe szczęście?

Stefuś długo chodził zamyślony. Trudno wszystkie jego myśli odgadnąć.

Głuche wieści krążyły między kolegami, że Stefuś na terenie stolicy już jakąś małą potyczkę był przegrał, ale nikomu o tém nie powiedział. Czy miałby powtórnie kusić się na tém miejscu?

Kiedy Stefuś właśnie nad tém myślał, otworzyły się drzwi a do pokoju wszedł młody człowiek starannie ubrany; w jednej ręce trzymał laseczkę z pieskiem, w drugiej świeżo oprawne album.

— O mój złoty, — zawołał Stefuś, — jakże się masz Edwardzie! Siadaj! Bardzo się cieszę!

Przyjaciół jednak nie usiadł, tylko stanął na środku pokoju i smutno głową do Stefusia pokiwał.

Stefuś zrozumiał ten giest, zasmucił się także, spuścił oczy i ozwał się:

— Słyszałem, słyszałem, ale cóż robić! Prawdę mówiąc ja się tego spodziewałem. Już to mi się nie podobało, że w trzeciej figurze kotyliona nie wybrała ciebie ale Fredzia.... I jakże ci odpowiedziała?

— Jak?—krzyknął Edward,—dostałem takiego kosza!

Mówiąc to przyłożył laskę do nosa i dodał jeszcze do niej album.

— Tam do kata! Głupia dziewczyna!... Co to masz za album? Pokaż!

Stefuś otworzył album. Zaraz na pierwszych kartach obaczył fotografię dosyć ładnej, młodej twarzyczki.

— Kto to jest?—zapytał.

— To moja siostra stryjeczna!—odpowiedział nieszczęśliwy przyjaciel.

— Mężatka?

— Nie, panna.

Stefuś patrzył niejakiś czas na fotografią, potem odłożył album na bok.

— Ależ proszę cię, — zawołał,— czemu nie siadasz? Siadaj!... Jakie palisz cygaro? Ja zwykłą palę Havanna, ale czekaj.... zabrakło mi.... może posłać.... a może papieros ukręcisz?... Tylko nie mam tego lepszego tytoniu; mam zwykły, prosty: czasem dla spauzowania lubię prosty.

Edward usiadł i wyjął swoje własne cygaro.

— Masz cygara? — rzekł Stefuś, — to dobrze, zapalę i ja cygaro.... Proszę cię, chciałbym właśnie z tobą pomówić o tym interesie co do żeniaczki.

— Et, lepiej nie przypominaj mi! Miasto dużo mnie kosztuje, a wiesz że wiele nie miałem!

— Właśnie chciałbym ci jakąś myśl podać w tej mierze, bo widzisz serce, ty zły plan ułożyłeś!

— Jakto zły plan? Co mogłem to robiłem. Ale kobiety dzisiaj nie kochają!

— Nie wierz temu, kobiety kochają, tylko trzeba umieć je znaleźć!

— A gdzie takich znaleźć!

— Wszędzie, wszędzie mój drogi, tylko nie w stolicy!

— Jakto? Żeby na kilkanaście tysięcy nie było ani jednego?

— Fałszywie zapatrujesz się na tę kwestyą, mój drogi, zaraz ci rzecz wyjaśnię.... masz drugie cygaro? To nie chce się palić, odłożę je tu dla służącego!

Edward podał mu nowe cygaro. Stefuś zapalił i mówił dalej:

— Powiadasz, że kilkanaście tysięcy jest panien w stolicy, ale ja ci zaraz dowiodę, że nie prawda. Najprzód trzeba od tego odtrącić wszystkie córki urzędników, bo te w rachubę nigdy nie wchodzi. Jest to tylko materyał na stare panny a nic więcej. Co dzisiaj warta panna bez posagu? Czyż można mieć za złe człowiekowi, który od takiej panny ucieka, która mu nietylko w dom nic nie przyniesie, ale jeszcze żąda potem od męża aby ją w aksamity ubierał!...

— O takich pannach nigdy nie myślałem!

— Są teraz panny, których rodzice posiadają domy. Z tej kategorii także mało się co wybierze. Najczęściej jest liczna rodzina, a panna dostanie w posagu półtory ściany murowanej! Prócz tego rodzice takiej panny są to ludzie prości, często rachunkowi. Pytają konkurenta co ma i co robi? Nie rozumieją się ani na szyku, ani na żadnych innych wyższych przymiotach. Wołają córkę wydać za kupca lub rzemieślnika, a w najgorszym razie za biuralistę, który jeszcze studentem kochał się w córce!

— I o tych również nie myślałem!

— Pozostają teraz rodziny szlachty, to jest: właścicieli ziemskich. Z tych nie wiele stale tu mieszka, a większa część zjeżdża się tylko na zimę, *respective* na karnawał!

— Otóż o tej kategorii najwięcej myślałem!

— Łudziłeś się! Najprzód miej to za aksyomat: jeżeli panny ze wsi do stolicy na zimę przyjeżdżają a nie mają już krótkich sukienek, to rzecz oczywista, że szukają mężów, chociażby Bóg wie jak się tego wypierały! Zazwyczaj powiadają w takim razie, że to tylko dla zabawy, dla tańców się robi! Nie wierz temu! Każda z nich, jeśli trzy razy podskoczy, to przynajmniej przy dwóch skokach o mężu myśli! Są to poprostu wyprawy po mężów, do czego nietylko tańce, ale i teatru amatorskie należą!

— Zdaje mi się, że to właśnie najwłaściwsza kategoria....

— Łudzisz się. Jeżeli panna do miasta po męża wyprawę robi, to jest już w tém pewny rachuneczek. Wpra-

wdzie rodzice mówią: może sobie kogo upodoba! Ale po to upodobanie robi się umyślną wyprawę, szuka się już tego upodobania, a więc postępuje się z pewnym rachunkiem, który wcale do spraw miłości nie należy. Miłość bowiem to córa niebios, przychodzi ona sama, tak jak rosa wieczorna, o której dziś jeszcze nie wiedzą z kąd się właściwie bierze!

— Przecież tego o wszystkich powiedzieć nie możesz!

— To mówię o najniewinniejszych! Inne to już po prostu jak na polowanie się zjeżdżają i z tém się nawet wcale nie tają. Matki zakładają domy na wielką skalę, aby złudzić kawalerów pozorem dobrego bytu, a tymczasem pilnie dowiadują się o majątkach młodych gości swoich.... Mówią bardzo wiele o bogatych sukcesyach, nieprzymierzając jak ja o twoim bogatym stryju rozповідаłem, nie wiedząc, że ma córkę, o której dopiero z tego album się dowiedziałem.

Edward smutno spuścił głowę.

— Otóż widzisz, że tutaj tylko najczęściej o złudzenie chodzi, kto kogo złudzi i oszuka, a trafia się niestety, że obie strony czasem fatalnie się oszukają! Ponieważ zaś między kobietami jest większa solidarność i lepsze talenty dyplomatyczne, to przegrana najczęściej jest po naszej stronie! Powiadają wtedy: panna zerwała, bo przekonała się że go kochać nie może! Nieprawda! Ktoś szepnął tam do ucha ciotki lub mameczki, że hołysz, nie ma nic i kwita!—I ty gniewasz się teraz i powiadasz, że panny nie kochają! Prawda, że takie panny, które tylko wyprawy i polowania na mężów robią, nigdy nie kochają!

— Ba, a gdzież znaleźć te, co kochają?

— Na wsi, na wsi, mój drogi! W białym dworku o czterech pokoikach a przy pełnej sakwie papy dobrodzieja! Tam, gdzie to jeszcze są ogródki z malwą i słonecznikami, a wśród niego zagony z cebulą i selerami! Gdzie mama czasem godzinki ze służbą śpiewa, a panienka sama indykom karm rzuca! Tam serduszko ma jeszcze barwę śliwki węgierskiej, na której wszędzie ślad zostawisz, gdzie się jój dotkniesz!... A serce wiejskich panien to jak z gutaperki: ugnie ci się pod palcem, ale zaledwie odejdiesz już się wyprostuje!... Na wieś bracie, na wieś!

Edward zamyślił się! Po chwili podniósł głowę, uśmiechnął się i odparł:

— Widzę, że dyabelnie rozumiesz te sprawy! Gdybym cię zawsze jak ministra miał przy boku....

— Zgoda! Obiecałem wprawdzie Ferdusiowi, że z nim na ferye pojadę, ale daję tobie pierwszeństwo.

— Jakto? Czy na seryo mówisz o tém?

— Zupełnie na seryo. Wiesz, mnie takie robienie planów sprawia rozkosz niewypowiedzianą! A tutaj od dobrego planu wszystko zawisło. Prócz tego człowiek w takim razie sam za siebie mówić nie może; potrzebny jest jaki towarzysz, któryby dobrą opinię jego rozszerzał, wszędzie go chwalił, gdy potrzeba nawet i o sukcesyach mówił a w najgorszym razie o loteryi. U panny jest taki poradnik nieoceniony: zwraca on nieustannie jęj uwagę na ciebie, najkorzystniejsze strony twoje, słowem, robi wszystko, co ty robić nie możesz!

Edward namyślał się ciągle.

— Wszak stryj twój jest człowiek bardzo bogaty: nieprawda?

— Bardzo bogaty, ale sukcesyi po nim nie mogę się spodziewać, bo ma córkę!

— Ma córkę.... to mniejsza. Ale przecież prowadzi dom, miewa gości,...

— Tak, dosyć!

— Można by zawiązać inne znajomości.... i iść.... coraz dalej, póki się coś nie wynajdzie!

— Ba, jakże to zrobić!

— Rzecz prosta: ja pojadę na parę miesięcy do ciebie; tam przygotujemy wszystko; ztamtąd napiszesz do stryja, że chciałbyś go odwiedzić, ale masz u siebie przyjaciela.... powiesz że artysta, albo poeta, lub historyk, który zbiera daty historyczne, lub co chcesz.... tylko znówu musisz zwać, żebym miał potrzebną aureolę i powagę do roli, jakiej się podejmuję! Wtedy będziemy korzystać ze stosunków i pokrewieństwa domu stryjowskiego i powoli po uchwyceniej nitce dostaniemy się do kłębka szczęścia!

— Toby nie była zła myśl!

— Namysł się dobrze i powiedz mi, abym wiedział, co mam Ferdusiowi odpowiedzieć. Czy masz jeszcze jedno cygaro?

(Dalszy ciąg nastąpi).

